Nr. 21. Warszawa, dnia 23 (11) Maja 1891 r. Rok XI.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY“**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

**Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.**

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.



## POLITYKA.

### LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

IX.

Wypadki w Fourmies. — Dwa posiedzenia Izby. — Ankieta i amnestya. — Nowy rozdział wśród republikanów. — Rząd i prawica. — Skutki.

Czternastu zabitych i 30 rannych, pomiędzy którymi jedno dziecko 11-letnie, kilkunastu wyrostków, kilka dziewcząt 16—18 letnich, kilka kobiet, jeden mężczyzna dorosły i jeden starzec siwowłosy — oto bilans 1 maja w małej mieścinie fabrycznej Fourmies.

Wobec takiego wypadku zdawałoby się, iż Izba zażąda wyjaśnienia, czemu tyle krwi rozlano; czy istotnie porządek nie mógł być utrzymany środkami mniej surowymi, czy nieodwołalna konieczność publicznego zbawienia kazała usłać bruk tylu trupami ofiar. Trzeba było powodów nader groźnych, aby dojść do tak smutnej konieczności. Powodów takich nie było. Wszyscy stanowczo się zgadzają, iż trochę chłodu i umiarkowania ze strony prefekta mogło doprowadzić do uniknięcia rzezi. Wprawdzie z pośród manifestantów, którzy żądali wydania kilku aresztowanych towarzyszów, padło trochę kamieni w stronę wojska, ale poskromić wybryki można było bez strzelania. A jeżeli użycie broni było konieczne, to je należało poprzedzić odpowiedniem i kilkakrotnem ostrzeżeniem, wymaganem przez prawo. Warunek ten, który niechybnie rozproszyłby tłumy, wykonany nie został. Strzały padły odrazu, przez nikogo nieprzewidziane i niespostrzeżone, tem bardziej, iż nowa broń Lebela pali bez dymu. Wypadki to zawiesiły nad ministeryum olbrzymią odpowiedzialność, od której mogło się uwolnić jedynie za pomocą stłumienia całej sprawy, nie dopuszczając, aby w zupełności wystąpiła na światło dzienne. Tak też, rozumie się, rząd postąpił. Dnia 4 maja interpelowali gabinet z powodu tych zajść dep. Dumay i Ernest Roche: wskazawszy, iż zrobiono szeroki wyłom w patryotyzmie mieszkańców pogranicznych, żądali, żeby sprawiedliwość surowo wymierzona została, gdyż inaczej Rzeczpospolita nosić będzie piętno rzezi w Fourmies, tak samo, jak Cesarstwo nosiło piętno rzezi w Ricamarie. Ale Constans, bynajmniej nie zrażony tem żądaniem, nietylko wziął na siebie odpowiedzialność zaszłych wypadków, ale uczynił z nich nawet przedmiot chluby, przy oklaskach centrum. Stało się rzeczywistem, iż ministeryum nie upadnie. Wówczas Millerand sprowadził obrady na niższy ton, wymagając przynajmniej, aby przeprowadzona została ścisła ankieta. „Światło musi być rzucone — mówił — na tę okropną klęskę, aby jej nikt nie mógł wyzyskać przeciw Rzeczpospolitej.“ Ale rząd oparł się stanowczo śledztwu i posłuszna większość odrzuciła je 368 głosami przeciw 172. Rzeczy odbyły się zupełnie tak samo, jak za czasów Cesarstwa w analogicznym wypadku, przeciw któremu onego czasu namiętnie grzmieli ludzie, znajdujący się dziś u władzy. Minister przykrył swego prefekta, a większość przykryła swego ministra. Jeżeli wszakże za Cesarstwa Izba zadowoliła się czystem rozgrzeszeniem rządu, to obecna uważała za potrzebne podkreślić swą aprobatę gorzką ironią. Wyraziła ona zabitym i zranionym gorącą swą sympatyę i oświadczyła zarazem, iż jest więcej, niż kiedykolwiek zdecydowana „przeprowadzić w sposób spokojny reformy społeczne.“ Zaiste, nazajutrz po takiej próbie uspokojenia waśni społecznej czysty porządek dzienny byłby mniej nielitościwy. Czemu odrzucono śledztwo? Wyraził to jeden z przeciwników w sposób dobitny: „Jeżeli chcecie zbyt głęboko badać przyczyny zaszłych wypadków i popełnionych błędów, to moglibyście zrobić odkrycia, które was mocno zasmucą.“ W kilku słowach wypowiedział on tu istotną, acz ukrytą myśl większości i osądził w należyty sposób frazeologię ostatecznego porządku dziennego. Większość nie chciała zgłębiać klęski nie dlatego, aby uważała ją za dostatecznie wyświetloną — jak twierdziła — lecz dlatego, iż nie chciała jej bardziej wyświetlać i wywlekać odpowiedzialności, które już zdala przewidywała. Trzeba było kochanego ministra wygrodzić!

Wyżej wspomniany porządek dzienny jest wbrew patryotycznej hipokryzyi i socyalistycznym frazesom, którymi starano się go upiększyć, wołającą o pomstę niesprawiedliwością. Dlatego też opozycya nie dała za wygranę i zażądała amnestyi, dowodząc w następujący sposób. Po raz pierwszy od lat 20 Rzeczpospolita użyła siły przeciw ludowi, bez potrzeby. Było to wielkie nieszczęście, które parlament powinien zatrzeć aż do zapomnienia. Mógł to uczynić dwojako: albo w drodze śledztwa, któreby wyświetliło wszystko i wymierzyło należytą sprawiedliwość wszystkim winom i wszystkim błędom, albo też aktem przebaczenia i zapomnienia, zmazując ostatnie ślady okropnego dnia. Ponieważ pierwszą drogę odrzucono, pozostawała druga. Oddano więc pod rozpatrzenie Izby cztery propozycye amnestyi o rozmaitej rozciągłości, poczynając od takiej, która żądała zastosowania tego dobrodziejstwa do wszystkich występków, związanych z dniem 1 maja i kończąc na takiej, która amnestyi żądała tylko dla skazanych z Fourmies. Izba jednak na żądanie rządu odrzuciła wszystkie *en bloc*. Chciano przeprowadzić gąbkę nad krwawemi zajściami bez ceremonii, w sposób brutalny. Wywołało to tylko nowe odszczepieństwo w łonie republikanów, którzy od dwóch lat szli ręka w rękę, a obecnie stanowią znowu dwie wrogie i wojujące z sobą na śmierć i życie grupy.

Posiedzenie, na którem rozdział ten się odbył, miało charakter nader burzliwy. Po przeczytaniu propozycyi, przedstawionych przez czterech radykalistów (Pelletan, Maujan, Guillemin i Le Veillé) minister Fallieres oświadczył w imieniu rządu z wielką energią, iż nie zgadza się na amnestyę ani ogólną, ani cząstkową. Znaczyło to rzucić rękawicę skrajnej lewicy i wogóle radykalistom. Ci ostatni wszczęli natychmiast walkę, wystawiając Pelletana, głównego poplecznika Clémenceau'a, który prowadził ją z wielką gwałtownością, jakkolwiek zręcznie. Ponieważ wszakże centrum, przyjąwszy poprzednio słowa Fallieres'a oklaskami i śmiechem przerywało mowę Pelletana, więc ten, widząc, iż sprawa jest przegrana, puścił na zakończenie strzałę partyjską w stronę rządu. Wypowiedział mu wojnę w imieniu radykalistów, zrzucając nań winę za zerwanie przyjaznych stosunków, które dotychczas łączyły obie partye republikańskie. Pokazując zaś ręką prawicę, zawołał: „Odprawiają nas dlatego, iż mają kogo innego, kto zajmie nasze miejsca.“ W odpowiedzi Freycinet wystąpił z mową daleko bardziej umiarkowaną, niż Fallieres, błagając swych przyjaciół i przyjaciół Clémenceau, aby nie zrywali sojuszu niezbędnego dla dobra Rzeczypospolitej. Wówczas sam Clémenceau wskoczył na trybunę — co się dość rzadko zdarza — uciekając się do swej zwięzłej dyalektyki i gryzącej wymowy, aby dowieść, iż zer-

wanie, jeżeli nastąpi, to nie z winy radykalistów. Z wielką siłą wyświetlił, iż postępowanie w Fourmies nie było niczem usprawiedliwione. Nie, aby utrzymać porządek w obecności kilkuset żołnierzy, nie trzeba było uciekać się do ognia, pod którym padły, jak kłosy pod sierpem, ci straszni rokoszanie: jedenastoletnie chłopaki i dziewczęta z gałązkami zieleni w ręku. Przeszedłszy następnie do kwestyi społecznej wogóle oświadczył, iż trzeba się nareszcie zdecydować, jak postąpić z czwartym stanem, który posiada obecnie świadomość swej siły i który wymaga miejsca należytego pod słońcem. Jeśli ci nowoprzybyli spotkają się na samym wstępie z gwałtem, to w niedalekiej przyszłości może wybuchnąć wojna domowa. Przy obecnem położeniu Francyi Clemenceau uważałby ją za okropną klęskę. Dla tego też zakończył: „Zbawmy ojczyznę! Odmowa amnestyi złoży na nasze barki ciężką odpowiedzialność wobec historyi. Proszę was o litość dla Rzeczypospolitej! Litości dla Francyi! Amnestyi!“

Rozszerzywszy w ten sposób grunt obrad, mówca użył najlepszego sposobu, aby wywołać odstępstwo w szeregach przyjaciół rządu i można było przez chwilę sądzić, iż gabinet jest w niebezpieczeństwie. I oto prawica zbawiła gabinet, głosując z rządem: 294 głosów oświadczyło się za nim, 191 przeciw. Te ostatnie są wszystkie prawie republikańskie, śród pierwszych znajdowało się sto monarchicznych.

Jest to wypadek pierwszorzędnej wagi! Z jednej strony środek, pozostając głuchym na słuszne żądania radykalistów, zerwał zjednoczenie republikańskie, zawarte w r. 1889 przeciw bulanżyzmowi. I proszę zauważyć, iż związek ten pękł nie przypadkowo, lecz dzięki rezolucyi dobrze obmyślanej i wypowiedzianej po kolei przez wielu ministrów i wszystkich mówców skrajnej lewicy. Z drugiej strony prawica znowu zdobyła przewagę parlamentarną, utraconą przed dwoma laty. Łatwo sobie wyobrazić radość prasy monarchicznej. Z dwojga bowiem jedno. Albo gabinet zechce spłacić dług wdzięczności, jaki zaciągnął u prawicy — co jest bardzo prawdopodobne — i wstąpi na drogę polityki konserwatywnej (od tego kroku może go powstrzymywać tylko ta okoliczność, iż w takim razie obecna większość rządowa znacznie się wyszczerbi na korzyść opozycyi); albo też gabinet prawicy ustępstw nie zechce czynić, wówczas zawiedziona nie omieszka przy pierwszej lepszej sposobności połączyć się z opozycyą radykalną dla obalenia go. W obu wypadkach prawica staje się na nowo panią położenia. Jeszcze bardziej ono się zachmurza dzięki wewnętrznym rozterkom istniejącym w łonie gabinetu, które już oddawna szykują jakiś przełom rządowy, odroczony chwilowo przez obecną dywersyę. Zaznaczamy, iż Pion ze swą grupą odegrał w przedstawionem tu posiedzeniu czynną rolę, podtrzymując ostentacyjnie Constansa i pobudzając całą prawicę do takiegoż postępowania. Radykaliści ogłaszają, iż na nowo organizują partyę — do walki: trudno im czynić winę z tego, że nie chcieli „zmazać krwawej plamy 1 maja“ ustępstwem. Rząd zaś chwilowo skazany jest na politykę t. zw. „koncentracyi centrów“ — z czem daleko nie zajedzie. Wkrótce położenie bądźcobądź się wyjaśni.

*L. W.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Widok krwi ludzkiej zawsze wywołuje wzburzenie; więc gdy tę krew przelano w Belgradzie, mimo że Natalia nie cieszyła się szeroką sympatyą, chociaż uporem swoim doprowadziła do katastrofy, posypały się złorzeczenia na regentów i ministrów. Naturalnie w tym ogniu kują żelazo postępowcy z Garaszaninem na czele, nie sądzimy wszakże, ażeby on ich interesy długo ogrzewał. Partya ta zbyt jest niecierpiana w kraju, a jej przewódca — człowiekiem zbyt lichym. Czy można było uniknąć nieszczęsnego starcia przy roztropniejszem postępowaniu ze strony władzy? Pytania tego rodzaju trudno rozstrzygnąć z oddali, chociaż łatwo po spełnieniu się wypadku. Jeżeli rząd postanowił niezwłocznie wydalić Natalię i w potrzebie użyć siły, powinien był uczynić to z nadzwyczajną ostrożnością, której mu świadkowie bezpośredni nie przyznają. Ale gdyby ci świadkowie i sędziowie byli na jego miejscu, kto wie, czy ustrzegliby się błędu i spełnili ciężkie zadanie *lege artis*.

Gdy wszystkie banki portugalskie ogłosiły swą czasową niewypłacalność, gdy to zrobił nawet bank państwa, zamęt polityczny, powiększony finansowym, który najwięcej sieje popłochu, wzrósł do ostatecznych granic. Sternicy tonącej nawy usiłują zebrać dla niej nową załogę, złożyć gabinet, któryby ją uratował, zdaje się jednak, że burza ten wątły statek rozbije. Portugalia weszła w okres rozkładu swej dotychczasowej organizacyi, z którego wyjdzie całkiem zmieniona. Podstawy, na których dotąd się opierała, przegniły, spruchniały lub zostały podważone, więc każda chwila może zwalić podtrzymywany przez nie budynek. Wyjątkowo pozwolimy sobie powołać się na naszą wróżbę z czasów zatargu z Anglią o posiadłości afrykańskie: wtedy to John Bull swoją brutalną pięścią zadał Portugalii cios bardzo niebezpieczny dla jej stosunków wewnętrznych.

Nie tak głęboko sięgnie przewrót wewnętrzny w Belgii, ale jej nie ominie. Gwałtowny napór klas niższych, żądających czynnego udziału w sprawach państwa, tj. praw wyborczych, z których dotąd korzysta tylko drobna cząstka narodu, nie da się odeprzeć ani słowami, ani siłą. Belgia musi przestać być anachronizmem konstytucyjnym i na wzór państw, z któremi ma wspólny grunt polityczny, wprowadzić głosowanie powszechne. Przeciwnicy tej reformy — zarówno postępowcy, jak konserwatyści — bronią stanowiska dawno straconego.

Wystąpienia przeciwko żydom tak szeroko rozszerzają swe pole, że niedługo ogarną całą Europę. W ubiegłym tygodniu wybuchł ten pożar namiętności na wyspie Korfu. Powodem miała być pogłoska, często w takich wypadkach grająca rolę garści pakuł nasyconych naftą, że żydzi zamordowali dziewczynę chrześciańską dla celów religijnych. Natychmiast rozpoczęły się akty zemsty i prześladowania. Oblężono przytem dzielnicę, zamieszkaną przez izraelitów i zamknięto im wszelkie z niej wyjścia. Gdyby który z nich pokazał się na zewnątrz pasu blokady, ukamienowano by go. Korespondent *N. fr. Presse* opowiada charakterystyczne szczegóły. Niejaki Matatia spacerował z kilku grekami po okopie. Zbliżyło się do nich paru elegancko ubranych mężczyzn, którzy zagrozili im kijami, jeżeli nie odpędzą od siebie żyda. Matatia uciekł co prędzej do swojej dzielnicy. Toż samo spotkało innego greka, który siedział z adwokatem semitą w kawiarni. Na Korfu znajduje się około 6000 żydów, którzy gotowi są opuścić wyspę, ale w znacznej części nie mają środków. Konsulowie niektórych państw poczynili rządowi greckiemu z tego powodu przedstawienia, żądając bezpieczeństwa dla swych poddanych, a nawet wysłali okręty. Według ostatnich doniesień wzburzenie osłabło, w popiele jednak pozostał żar, który każdej chwili może się rozpłomienić. To też żydzi bogatsi opuszcza-

---

1)

# NOWY ABRAHAM.

Chaim Szostak był krawcem damskim i życie całe poświęcił na przyozdabianie pięknych i mniej pięknych pań swego rodzinnego miasta. Poświęcił! Szczytne to słowo, bez nadużycia jego doniosłości literalnie zastosowano być może do wielu lat jego mozolnego żywota. Od najwcześniejszej młodości do dni ostatnich, które mu już mocno ubieliły głowę, wszystkie dni, a często noce oddawał najsumienniej upiększaniu swoich współobywatelek. Przez długoletnią praktykę doszedł był nawet do takiej wprawy, że wszystkie ubierające się u niego panie wypuszczał z rąk swoich na jeden typ umodelowane; zdawaćby się mogło, że w jego pojęciach tkwił jeden jedyny ideał piękna, niezmienny i nieśmiertelny, który on przystosowywać lubił do każdej postaci i każdego wieku, każdego wzrostu i każdej objętości. Klientki jego również przywykły do niewzruszoności owego typu, i podobno żaden krój inny nie mógłby im przypaść do smaku. Chociaż obstalunki, wychodzące z rąk Chaima, nie były przyjęte i ocenione, jak on się tego spodziewał; chociaż wszystkie panie, powierzające mu materyał i rachujące na terminowe wykończenie, również otrzymywały nie to i nie tak, jak się tego spodziewały, skąd wynikały różne turbacye i mniej lub więcej ożywione rozprawy — mimo to wszystko panie trzymały się zawsze swego krawca, a krawiec ów swoich pań. Interes między nimi zagajał się przyjemnie, niemal wesoło: panie były ożywione nadzieją nowego przyodziewku, podniecone rozbudzoną w dziedzinie form i kolorów wyobraźnią — krawiec również ożywiony był i podniecony nadzieją zarobku oraz usiłowaniem wpadnięcia na tor niedość sformułowanych zachceń klientki. Nie brakło tu kombinacyj wszelkich, obrachowań i obietnic, nie brakło żartów nawet i dobrego humoru. Niestety, przyszłość nie odpowiadała nigdy tak pięknie zarysowanemu początkowi. Mija dzień jeden, drugi, tydzień dobiega końca; Chaim siedzi od rana do nocy, kraje, przymierza, przerabia i przypomina sobie wszystkie zalecenia — jedne przypomni, drugich nie pamięta — dobywa sił wszelkich, aby uniknąć zastrzeżonych, zwykłych swych omyłek, a nie przeczuwa, że palce jego i igła zawsze starej trzymają się drogi, nożyce przy ostatecznem wygładzaniu fasonów zawsze na stary tor schodzą. Dziwnym też jakimś sposobem mimo rzetelnego pośpiechu i gorliwego przysiadywania fałdów, robota przeciąga się zawsze daleko poza termin. Upływa dzień oznaczony; Chaim otrzymuje pierwsze zawezwanie, potem drugie i trzecie; w pośpiechu plączą się nici, zszywają niewłaściwe kawałki, trzeba pruć i przerabiać nanowo; a tu na dobitek jego Małka traci resztki krótkiej swej cierpliwości i poczyna wyrzekać, że doczekać się nie może spodziewanych pieniędzy, a siedmioro małych Chaimków i Małek dopomina się coraz natarczywiej przyobiecanych przysmaków. Wśród tego wszystkiego Chaim znajduje jednak dość siły ducha, aby krzepić się i pocieszać myślą, że gdy ostatecznie wszystko zostanie posklejano i przypasowane, suknia, ten owoc tylu dni gorzkich przejdzie wykończeniem wszystkie dotychczasowe jego roboty i niezawodnie podkopie kredyt nienawistnego Josielka z Wołowskiej ulicy, a nawę jego rodziny popchnie na lepsze, spokojniejsze fale, gdzie widmo nędzy tak często grozić jej nie będzie.

Właśnie widzimy go w jednej z owych chwil pełnych niepokoju, oraz spodziewanego tryumfu. Nisko pochylony nad robo-

ją wyspę, biedniejsi zaś pospieszą za nimi, o ile Hirschowie i Rotschildowie umożliwią im zasiłkami wyjazd.

Nowy prezes gabinetu włoskiego Rudini, stawiając Izbie swoje żądania, z każdem niemal łączy kwestyę dalszego pozostania w urzędzie. Izba ulega, bo widzi w nim człowieka energicznego, prawego i szczerego, który w grę kuglarską się nie bawi. Ze względów oszczędności wymagał usunięcia zapomóg dla szkół włoskich za granicą. Zgodzono się. Przy tej sposobności wypowiedział swój pogląd w sprawie bardzo drażliwej, a dla włochów szczególnie ważnej. Mianowicie oświadczył, że nie pozwoli uroszczeniom kościoła rozrastać się kosztem państwa, ale też nie da się wciągnąć do prześladowań religijnych.

## SPRAWY EKONOMICZNE.

### WYSTAWA FRANCUSKA W MOSKWIE.

„Wystawy przemysłowe i rękodzielnicze same przez się nie są rzadkością, lecz ażeby jeden naród szedł ze swoją wystawą do innego narodu, do innego państwa — jest to pierwszy wypadek od czasu istnienia mocarstw!“ Taki okrzyk podziwu wyrywa *Swietowi* wystawa francuska w Moskwie. Istotnie, jest ona zjawiskiem jedynem w swoim rodzaju, łatwo jednak dającem się tłomaczyć. Toż samo pismo w następujący sposób je określa: „Twory niemieckie, zalewające Rosyę, będą musiały ustąpić miejsca francuskim, jako lepszym i wykwintniejszym. Następnie, co jest jeszcze ważniejsze, kupcy niemieccy i rzemieślnicy, stanowiący w Rosyi najniebezpieczniejszy dla jej przyszłości historycznej żywioł napływowy, będą zmuszeni do ustąpienia francuzom, narodowi pod każdym względem stojącemu wyżej moralnie i duchowo. Przemysł nasz, wzmagający się z każdym dniem, nie może jeszcze obejść się bez udziału cudzoziemców, lecz będzie to już postępem, jeżeli zamiast niemców dostaniemy francuzów.“

Gościowi więc idzie o rynek zbytu, gospodarzowi o wypchnięcie za drzwi niemieckiego wtręta, który za uprzejmość, zdaje się, chce odpłacić — „koniem trojańskim.“ Nowy przybysz ma jeszcze inną zaletę, której brak jego poprzednikowi. „Przybyły do Rosyi francuz, wzbogaciwszy się, wróci do swojej ojczyzny, lub stanowczo zruszczeje w drugiem pokoleniu. Tymczasem niemiec, zjawiając się sam, prowadzi za sobą całą chmarę współziomków, odznaczających się żydowską mnożnością i darem płodzenia niezmiernej liczby domorosłego potomstwa na zagrzanem miejscu“ (*Swiet*). Jest to przytem rasa wolniej asymilująca się. Nadto, towar galicki jest lepszy i wykwintniejszy, niż teutoński. Gdy do tych dodatnich względów natury utylitarno-estetyczno-politycznej dołączymy przestronność rynku ruskiego w Europie i Azyi, w niedostatecznej mierze jeszcze obsługiwanego przedsiębierczością kapitałów miejscowych, zrozumiemy jasno, dlaczego Francya wbrew etykiecie przyjętej w stosunkach międzypaństwowych podążyła ze swoimi wyrobami do Moskwy — a pojmiemy również sympatyczność tego faktu. Ale ten łącznik uczuciowy jest mocno zależny od taryfy celnej, która większość towarów dziwnym zbiegiem okoliczności figurujących w liście okazów francuskich okłada cłem. To też nie z tej strony spotyka wytwórców francuskich najgorętsze przyjęcie, ale raczej ze strony spożywców, których ani niemiec, ani miejscowy przemysłowiec dotąd nie zadowolili. Jeżeli więc i ten ostatni otwiera ramiona i głos swój harmonijnie miesza z chórem konsumującego ogółu, to prawdopodobnie albo nie rozejrzał się jeszcze w położeniu, albo zamyślił się nad wykwintem dzieł przybysza i marzy o naśladowaniu.

Wystawę, otwartą już obecnie 11 maja, trzeba uważać za pierwszy z elegancyą i sprytem wytrawnych kupców wykonany atak na rynki ruskie. Jeśli to prawda, o czem nie wątpimy zresztą, że wystawa obecna jest, według słów p. Carnota, kwintescencyą powszechnej paryskiej z r. 1889, że zatem okazy nadesłane do Moskwy stanowią kwiat przemysłu francuskiego — natenczas wszystko jest zrobione, co może olśnić spożywców zjednywanych. Ponieważ, sądząc z nastroju, jaki obecnie panuje w społeczeństwie ruskiem, ten pierwszy krok znajdzie niewątpliwie powodzenie, miasta więc Rosyi powitają wkrótce w swych murach sklepy i agentury, może nawet fabryki francuskie.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis!

„Początek obecnego stulecia widział w Moskwie armię francuską pod przewodnictwem najgenialniejszego, jaki kiedykolwiek istniał, wodza; teraz schyłek wieku ujrzy w Moskwie całą pracującą na korzyść ludzkości Francyę!“— powiada *Swiet*. Istotnie ciekawe są te dwa okresy czasu i mają na pozór—każdy z nich—coś odmiennego. W r. 1812 dokonał się najazd zbrojny żołnierzy młodego i łaknącego mieszczaństwa, świeżo po zburzeniu tam średniowiecznego ustroju; w r. 1891 jesteśmy świadkami także najazdu, ale pokojowego — dokonywa go toż samo mieszczaństwo, tylko mocno podtatusiałe i spasione. I wtedy i teraz szło o to samo — o rynek. Tylko dziś bodźcami są: ekonomiczna nadprodukcya i bil Mac Kinleya. Dawniej rej wiódł bandyta korsykański, obecnie spokojny i dobrze obznajomiony z tajemnicami przemysłu obywatel Sadi-Carnot.

*Zyg. Piet.*

## WAŻNY KROK

### W ROZWOJU PRAWODAWSTWA FABRYCZNEGO.

Sprawa reform społecznych w zakresie polepszenia bytu warstw pracujących przypomina się coraz głośniej. Tegoroczna zima zrodziła właśnie kilka usiłowań w tym kierunku. Czytelnicy *Prawdy* są już powiadomieni o jednem z nich, mianowicie o powołanej we Francyi do życia Radzie pracy. O niektórych próbach zupełnie głucho. Tu należą rozprawy w sejmie duńskim nad ubezpieczeniem państwowem robotników na wypadek choroby oraz zapewnieniem emerytury inwalidom pracy, zakończone przyjęciem odpowiednich wniosków. O reformie tej można to samo powiedzieć, co o jej prawzorze niemieckim, że jest wcieleniem bardzo ważnej zasady, lecz dokonanem w sposób biurokratyczny i jedynie w zamiarze zamydlenia oczów. Natomiast na szczególną i głębszą uwagę zasługuje tegoroczna działalność Izby gmin angielskiej. Zobaczymy niebawem, dlaczego. Uprzednio winniśmy zatrzymać się nieco nad obradami sejmu niemieckiego z powodu zmian, wniesionych przez rząd związkowy do istniejącej ustawy przemysłowej.

Zmiany to są następstwem zapowiedzi, obwieszczonych w przeszłorocznych dekretach Wilhelma II. Nie ulega wątpliwości, że w rozwoju obecnym Niemiec posiadają one znaczenie olbrzymie — nie ekonomiczne, ale polityczne. Można z całą słusznością powiedzieć, że z wielkiej chmury spadł deszcz nadzwyczaj mały. Już samo władze związkowe opracowały projekt zmian nader

---

tą, pod słabe światło lampki, szyje pilnie, aby dziś jeszcze wykończyć. Wydaje się całkiem skupiony w sobie i nie nie znamionuje nurtujących go niepokojów. Wysoka, chuda jego postać zawsze ma te same powolne, naccechowane godnością ruchy i twarz mizerna, o pięknej, na piersi spływającej brodzie, posiada zwykły swój wyraz zmęczenia i poważnej zadumy. Pogrążony w swych myślach nie bardzo uważa, że mały Mendelek z mniejszą jeszcze Ryfką wiodą za jego plecami zażarty spór o część przykrojonego rękawa, zarówno ich oboje zachwyca ten szmatek barwnej materyi i zarówno oboje usilują stać się jej posiadaczami. Nie uważa również, że zakopcona lampka cienką strugą czarnego dymu wystrzela ku poczerniałym a nawisłym belkom pułapu; nie uważa jak dym ten osiada mu na policzkach, na oczach, płucach — na oczach i płucach ośmiorga jego bachorów. Nie zważa, a może wysila się nie zważać, jak mu coś świdruje między łopatkami, jak zgięta od piętnastu godzin kość pacierzowa woła wszystkiemi siłami: wyprostuj mnie, bo nie wytrzymam! — jak go coś ssie w piersiach bardzo dokuczliwie, a między robotą i wpatrzonym w nią wzrokiem staje od czasu do czasu widmo kawałka śledzia z okruszyną chociażby chleba.

Ale te myśli natrętne Chaim bardzo energicznie odpędza od siebie; pojutrze szabas, podje sobie dobrze, choćby całą połowę śledzia — a teraz śpieszyć trzeba, bo pani aptekarzowa trzy razy już dziś przysyłała i koniecznie przed dziewiątą wykończyć kazała. A z poczuciem akuratności łączy się tym razem wzgląd o wiele donioślejszej natury.

— Nu, Chaim, czy ty aby dziś skończysz?—od czasu do czasu odzywa się Małka.

I co tu pytać? Jeśli nie skończy, jutro zapalić nawet nie będzie czem w piecu, ani za co kupić nafty, aby szyć dalej. Toć wszystkie Małki jego, Ryfki i Mendelki głodne będą piszczeć dzień cały — a serce strasznie boli, gdy dziecko tak kwili, toż blade będą, aż przezroczyste, a malutki Josielek do reszty nie podźwignie swoich nóżek krzywych. On to wie wszystko, i ręce mu się trzęsą, tak śpieszy; po co go jeszcze pędzić!

— Małke — mówi do żony, nie podnosząc głowy — zawołaj Lejzorka, niech on pomoże troszkę.

Małka podnosi kudłatą swą głowę z nad bali, w której coś pierze i błyska ku niemu płonącemi oczyma.

— Waryat jesteś! — wybucha — albo to Lejzorek nie szył od rana; albo to przez trzy dni ostatnie nie siedział na tym stołku, jak przykuty? Trzeba mieć litość nad dzieckiem, toż się rozchoruje nakoniec, i tak kaszlał dziś bardziej. Ani myślę go wołać, niech sobie pośpi trochę.

— Aj, ta Małke, jak ona boleśnie umie mówić!

Jemuż to wspominać o litości, ojcu nad własnem dzieckiem! Niby to on nie widzi, jak ten cienki, wysmukły chłopak w swem obcisłem i długiem ubraniu wygląda niby pochylone źdźbło suchego siana? Albożto on nie wie, skąd taka papierowa barwa jego twarzy i taki apatyczno-smutny wyraz jego oczu? I Chaim był kiedyś młodym; wie, że jeśli teraz ciężko jest siedzieć nad igłą po piętnaście godzin na dobę, to gdy się widziało inne dzieci biegające swobodnie, gdy młode mięśnie na gwałt domagały się ruchu i młoda pierś świeżego powietrza, wtedy — wtedy owe 15 godzin były jeszcze cięższe. Chaim dobrze to pamięta; ale również pamięta, że robotę na dziewiątą skończyć musi, a bez pomocy syna nie dokaże tego.

— Małke — zawołał niepewnym głosem.

— Wuo? — odzywa się z nad bali Małka.

Chaim milczy chwilę, jakby słowa nie chciały mu przejść przez gardło; aż ona powtarza raz jeszcze pytanie.

skromnie i z silnem uwzględnieniem interesów przedsiębierczych. Był to krok bardzo nierozważny wobec rozbudzenia daleko sięgających nadziei, tak iż albo nie należało obwieszczać nowej ery w dekretach, albo też ogłosiwszy ją, iść dalej — chociażby do wzorów prawodawstwa fabrycznego angielskiego. Poronione dzieło oddano komisyi parlamentarnej, złożonej z przedstawicieli grup szlachecko-zachowawczych i narodowo-liberalnych. Naturalnie, nieomieszkano tutaj skurczyć jeszcze bardziej dotatnich stron reformy, powiększyć zaś ujemne. W postaci, nadanej projektowi przez komisyę, reforma ustawy przeszła w drugiem i trzeciem czytaniu. Wprowadza ona kilka wprawdzie skromnych, lecz w każdym razie pewnych ulepszeń. Najważniejszym wynikiem jej jest wniesienie do niemieckiego ustawodawstwa fabrycznego pojęcia o maksymalnym dniu roboczym dla najmitów dorosłych. Mianowicie uchwalono, że dzień roboczy dla kobiet nie powinien wynosić więcej nad 11 godzin (w przededniu zaś niedziel i świąt tylko 10), nadto praca nocna zabroniona. Oprócz tego rozszerzono prawodawstwo we względzie opieki nad zatrudnianiem dzieci w fabrykach: zabroniono użycia sił dziecięcych przed ukończeniem trzynastego roku życia, oznaczono dla młodzieży w wieku lat 14 dzień roboczy na godzin 6, w wieku zaś lat 15 i 16 nie więcej nad godzin 10. Wprowadzono w bardzo wielu gałęziach produkcyi odpoczynek podczas niedziel i w dnie świąteczne, chociaż w bardzo skromnych rozmiarach i z nadzwyczajnem mnóstwem ograniczeń i wyjątków. Uchwalono pewne prawidła, które winny być stosowane w zakładach fabrycznych dla podniesienia zdrowotności lokalu i bezpieczeństwa pracujących; umożliwiono pewnym kategoryom najmitów dalsze uczęszczanie do szkół, wreszcie postanowiono, aby w każdem przedsiębierstwie, posiadającem pewne określone rozmiary, istniały ściśle przepisy dyscyplinarne, nie przekraczające dozwolonych prawem, słowem ukrócono nieco samowolę przedsiębierców. To są dodatnie strony reformy. Wprowadzone jednak ulepszenia stoją niżej, aniżeli rzeczywistość szwajcarska lub angielska i wobec rozbudzonych przeszłoroczną wiosną nadziei jedynie musiałyby wywołać w szerokich sferach ludności niemieckiej głęboki zawód i, co za tem idzie, nieufność do dobrych chęci władz związkowych. Lecz w rzeczywistości reforma dokonana wygląda jeszcze gorzej. Tę odrobinę dobrego, jaką w niej zawarto, wielokrotnie zniszczono wprowadzeniem nowych lub obostrzeniem dawnych paragrafów w duchu wysoce drażniącym niemieckie warstwy najmickie. Uchwalono mianowicie dla młodzieży pracującej książeczki służbowe i wypłacanie zarobku do rąk rodzicielskich, wprowadzono kary za zerwanie umowy, wreszcie każde ulepszenie ozdobiono mnóstwem wyjątków. W rezultacie wychodzi na to, iż ustawa, mająca bronić robotników, raczej staje w obronie przywilejów przedsiębierczych. Następstwa polityczne tego kroku są niewątpliwe i wyraźne. Dekrety były obliczone jedynie na podrywanie wpływu grup opozycyjnych; aby dotrzymać obietnic, wniesiono powyżej skreśloną reformę ustawy przemysłowej. Tymczasem w tej formie, w jakiej wyszła z retorty parlamentarnej, będzie ona jedynie siewczynią zwiększonego niezadowolenia, tembardziej, że już podczas obrad partye opozycyjne, wolnomyślna, a przedewszystkiem społeczno-demokratyczna zręcznie wyzyskiwały to położenie rzeczy.

Natomiast inny widok przedstawia Anglia. Jak wiadomo, jest ona ojczyzną ustawodawstwa fabrycznego i należy przyznać, że w naszej części świata po dzień dzisiejszy zachowała swoje stanowisko przodujące. Wypadłoby zwrócić się aż do Australii, aby znaleźć tutaj wzory dalej idące. Jeżeli usuniemy z pod rozpatrzenia długość dnia roboczego dla dojrzałych robotników płci męzkiej, musimy przyznać, że żadne prawodawstwo lądowe Europy w zakresie warunków pracy nie posunęło się tak daleko. Dodajmy do tego jeszcze samo urządzenie inspektoratu fabrycznego. To też podczas tak okrzyczanej konferencyi międzynarodowej, zwołanej w Berlinie przez Wilhelma II w sprawie uregulowania stosunków fabrycznych, dzienniki angielskie mogły z najzupełniejszą słusznością żartować z owoców zjazdu, wykazując, że ostateczne rezultaty obrad berlińskich i uchwalone tutaj projekty nie dorównywają nawet temu, co już istnieje w Anglii. Swoją drogą, podczas posiedzeń tegorocznych Izby gmin wniesiono cały szereg bilów, wymagających dalszego rozszerzenia i udoskonalenia prawodawstwa fabrycznego. Rzecz godna uwagi, że jedno stronnictwo spieszyło przed drugiem ze złożeniem jakiegoś projektu w tej mierze. Ze strony gabinetu dzisiejszego wystąpił sekretarz do spraw krajowych, Matthews; w Izbie panów wniósł bil przedstawiciel torysów, lord Dunraven, oddawna umizgający się do warstw najmickich Anglii; w Izbie gmin wystąpił Henryk James, ze związku liberalnego, będącego stronnictwem, odpowiadającem narodowo-liberalnej partyi niemieckiej, oraz Buxton, gladstonista. Wyścigi te, wzięte w oderwaniu od życia politycznego Anglii, wyglądają zagadkowo. Jednak łatwo zrozumieć istotną ich sprężynę, jeśli uwzględnimy stosunki miejscowe. Otóż od reformy wyborczej, której dokonano w 1885, warstwy najmickie stały się w tym kraju, jako wyborcy, olbrzymią potęgą polityczną. Wszak od tego, na czyją stronę dadzą one głos swój w niedalekiej walce wyborczej, zależą losy stronnictw! Tem to daje się wytłomaczyć taka zdumiewająca obfitość bilów i taka gotowość do rozszerzenia prawodawstwa fabrycznego. W parze z tem szło zachowanie się różnych lordów na zebraniach, które już zimą odbywały się w rozmaitych okolicach Anglii, a które miały na celu hypnotyzowanie przyszłych wyborców z warstw pracujących miejskich. Dodajmy do tego jeszcze liczne komisye parlamentarne, wyznaczone dla uregulowania stosunków kolejowych i wprowadzenia w życie urzędowych sądów polubowno-rozjemczych, a otrzymamy jeszcze dokładniejszy obraz tegorocznych zabiegów ze strony parlamentu. Wreszcie możnaby jeszcze wspomnieć o bilu członka Izby gmin, społecznego demokraty Cunningham Grahama, który wymaga ośmiogodzinnego dnia pracy.

Nie dowodzi to jeszcze, ile z tych projektów wejdzie w życie. Zatrzymamy się tylko nad jednym, a najdonioślejszym zamiarem, wypowiedzianym w bilach Dunravena i Buxtona, a mianowicie nad podporządkowaniem pod dozór prawa fabrycznego dotychczas nietykanej drobnej produkcyi domowej, znanej zwykle pod specyalną nazwą „Hausindustrie.“ Jest to w Anglii, jak i wszędzie, dziedzina najokropniejszego wyzysku, w której kwitnie tak osławiony „sweating-system.“ Ta metoda użytkowania z siły roboczej panuje w całem krawiectwie i kwiaciarstwie angielskiem, w nożownictwie, rymarstwie, stolarstwie meblowem, słowem we wszystkich sferach przemysłu, które produkują przedmioty codziennego użytku w dostatecznie wielkiej ilości. Przedsiębierca fabryczny, występujący w innych fabrykach, zamienia się tutaj na wielkiego kupca, zamiast fabryki występuje kantor. Kupiec ów wydaje materyał mnóstwu drobnych pośredników za odpowiednią rękojmią, ci zaś trudnią się wyłącznie wyszukiwaniem sił roboczych, którym w dalszym ciągu dorecza-

---

— Zbudź Lejzorka — mówi nieśmiało Chaim.

— Rozbójnik!—zakrzyknęła małżonka—on dziecko chce zabić, na śmierć chce je zabić!

— Oj, Małke, jakie ty straszne słowo powiedziała — poruszył się jak igłą ukłuty Chaim. — Na co takie straszne słowa gadać? A co będzie, jak nie obudzisz Lejzorka? Jak nie obudzisz jego, to on nie wstanie i nie siądzie mnie pomagać, a jak on nie będzie mnie pomagać, to ja roboty nie skończę.

— A to już nie kończ lepiej!

Chaima znowu igła jakaś ukłuła.

— Aj, aj, co ty dziś gadasz, Małke! Jak zaraz nie skończę, to aptekarzowa spać pójdzie.

— To niech sobie idzie.

— A kto mnie zapłaci, jak ona spać pójdzie? Aj, Małke, ty zupełnie źle dziś gadasz. Skąd my jutro weźmiemy drzewa, kartofli, chleba, jeśli ona spać pójdzie i nie zapłaci mnie? A jak dziś nie zapłaci, to może i jutro nie zechce, jak tamta z Juwolskiej ulicy, co to kazała Bóg wie ile czekać za to, że niby jakiś głupi tydzień robota przeleżała u mnie.

Smutny, monotonny ton tej przemowy wywarł na Małkę pewne wrażenie. Otarła mokre, czerwone swe ręce, bujne kędziory nawisłych włosów wsunęła pod rozluźnioną chustkę i ciężko wzdychając, zbliżyła się do pieca.

W tej małej, suterenowej izbie o dwóch oknach i niskim, pełnym pajęczyn suficie, piec zajmował poczesne miejsce i majestatycznie wysuwał się na środek. Między jego tylną ścianą a ścianą mieszkania znajdował się wązki i ciemny zaułek, przybytek wszystkich tych wstrętów, jakie dają na współkę nędza, ciasnota i brak czystości. Tam to na kupie jakichś niewyraźnych łachmanów leżał trzynastoletni wyrostek, owe źdźbło suchego siana, współżywiciel rodziny, Lejzorek. W mroku, na ciemnem tle szmat, odbijała niewyraźnie twarz jego blada i pociągła; rzekłbyś, sylwetka przeświecającego przez mgły nowiu.

Matka zatrzymała się nad nim chwilę, schylona, żałując go rozbudzić; wreszcie zawołała nań zcicha. Na szept ten chłopak otworzył wielkie, zdziwione oczy i podniósł się tak prędko i rzeźko, jakby wcale nie spał.

— Idź, ojciec woła — dodała matka.

Narzucił na siebie długi surdut, który mu w nocy służył za kołdrę i po chwili siedział już przy ojcu, powoli a nieprzerwanie wyciągając swą długą nitkę, jakby od rana siedział tak, nie wstając.

Chaim wydawał mu rozporządzenia, starając się jednak na niego nie spojrzeć.

Powoli gwar dzienny w izbie ucichał. Dzieci, jedno po drugiem, zostawały zanoszone za piec na łóżko, na podłogę, każde na swoje posłanie. Zamiast płaczu, wykrzyków i tupania czternastu nóg, zewsząd rozlegały się teraz oddechy śpiących, przerywane niekiedy cichem, półsennem łkaniem. Najtrudniej było ułożyć Ryfkę. Z wielkim wysiłkiem zdobyta od brata część ponsowego rękawa taką napełniała ją dumą i zachwytem, że zarówno o spoczynku, jak o zwróceniu zdobyczy mówić sobie nie dała. Rękami przyciskała szmatkę do półobnażonej, żółtawej piersi i energicznym lamentem protestowała przeciw wszelkim próbom matczynym odprowadzenia jej do łóżka. Matka zrazu krzyczała, niemniej jak ona, próbowała nawet przemocy, ale gdy i to nie pomogło a zwinne ciało dziecka jak węgorz wiło się w jej rękach, zostawiła je w spokoju i wpadłszy w nagłą czułość, w namiętnych uściskach formalnie dusić je zaczęła. Poczem zwróciła się do męża i w żywych słowach opowiadała, co to jest za rozumne dziecko, najrozumniejsze ze wszystkich ich dzieci, najrozumniejsze na

ją otrzymany materyał do wykończenia w domu. W ten sposób pojedyncze siły robocze są porozrzucane na olbrzymiej przestrzeni, nie znają się wzajem, pracując u siebie w mieszkaniu i odnosząc jedynie wykończoną robotę pośrednikowi, który doręcza już odpowiedniemu kantorowi. Zrozumiałe są następstwa tego stanu rzeczy. Przedewszystkiem, taka praca domowa wymyka się z pod wszelkiej kontroli władz inspektorsko-fabrycznych i dzięki tej swobodzie staje się źródłem najwyuzdańszego lekceważenia wszelkich przepisów hygieny. Dodajmy jeszcze, że dzięki takiemu rozproszeniu zatrudnione siły robocze, nie znając się wzajem, nie mogą solidarnie połączyć się w trade-uniony; przeciwnie, ślepą konkurencyą zniżają płacę swoją do możliwie nizkiego poziomu i bezustannie podkopują same siebie. Dzień roboczy trwa tutaj po 18 godzin, w najgorszych warunkach zdrowotnych, a tymczasem otrzymywane wynagrodzenie za robotę akordową jest niższe, niż w najgorzej płacącej fabryce. Skutki zaś ujemne pozostają i po pracy, człowiek bowiem żyć musi w swem mieszkaniu, brudnem, zanieczyszczonem. Nadto pośrednicy wprowadzili w „produkcyę domową“ drobiazgowy podział pracy, tak iż nie potrzeba niekiedy najmniejszej znajomości fachowej przedmiotu, ażeby wypełnić powierzoną robotę. Otóż projekt Buxtona jest wymierzony nietylko przeciw ujemnym następstwom sweating-systemu, lecz nawet przeciw samemu jego istnieniu. Jedyną drogą polepszenia bytu w „produkcyi domowej“ jest stworzenie odpowiedzialnego przedsiębiercy, a to można osiągnąć tylko zmuszając dzisiejszych przekupniów do zbudowania warsztatów, zamienienia kantorów na fabryki i zebrania w tem miejscu rozproszonych dzisiaj po prywatnych mieszkaniach robotników. Wtedy prawodawstwo fabryczne zdoła rozciągnąć swoją opiekę, umożliwione trade-uniony zmniejszą współzawodnictwo i wywołają podwyższenie stopy zarobkowej. Ale jak wziąć się do tego? Istnieje w Anglii przysłowie: „dom mój (względnie mieszkanie moje) jest moją świątynią,“ tj. miejscem, w którem wolno mi robić, co mi się podoba, chociażby systematycznie popełniać na sobie zbrodnię, państwo zaś niema najmniejszego prawa wtrącać się do tego. Właśnie ta świętość mieszkania czyniła domową produkcyę warownią, do której prawodawstwo fabryczne nie miało dostępu. Prawo w rozmaity sposób broniło takiego stanu rzeczy. Należało znaleźć w niem jakieś słabo miejsce; Buxton skorzystał z przepisów, nadwyrężających autonomię mieszkania prywatnego w imieniu zdrowotności publicznej. Pojęcie samo produkcyi domowej określił on w sposób następujący: „Nadal pod nazwą warsztatu domowego należy rozumieć każdą izbę lub miejsce, które nie jest fabryką w istotnem słowa znaczeniu, w którem jednak pracuje trzy lub więcej osób, bądź związanych wzajemnie pokrewieństwem, bądź też zupełnie sobie obcych. Pod pracą domową rozumieć należy wszelką robotę w celu zarobkowym, czy ona obejmuje wykonanie jakiegoś przedmiotu całego lub pewnej części jego, reparacyę albo przyozdobienie. Warsztatem domowym jest mieszkanie, jeśli w niem odbywa się systematyczna praca zarobkowa.“ Według bilu Buxtona, władza inspektorska miała by zupełne prawo przestrzegania zdrowotności takiego warsztatu domowego, aby na każdego pracującego wypadała ściśle określona ilość powietrza; następnie w imię tych samych zasad hygienicznych ograniczonoby pracę kobiet i dzieci, tych ostatnich do 6 godzin najwyżej dziennie z odpowiednią przerwą. Zaiste, śmieszną wydaje się ta cała kazuistyka, mająca na celu uprawnienie opieki państwowej nad przytuliskiem najbardziej samowolnego marnotrawienia sił ludzkich i wciąż szukająca przyczepek w istniejącem już prawodawstwie higienicznem! Mniejsza jednak o to. W dalszym ciągu bil Buxtona wymaga, aby każdy przedsiębierca, oddający robotę pracownikom domowym, pod surową karą prowadził księgę, co i komu powierza, tak iż inspekcya fabryczna w każdej chwili zdołałaby czynić odpowiednie rewizye. Bil Dunravena dąży do tego samego, jedyna różnica polega na mniej daleko idących żądaniach.

Stoimy więc na progu istotnie nowej epoki w rozwoju prawodawstwa fabrycznego. Wtargnięcie inspektora do drobnych mieszkań prywatnych, których właściciel zajmuje się pracą zarobkową na rzecz jakiegoś przedsiębiercy, jest w Anglii kwestyą bardzo niedalekiej przyszłości. Reforma ta posłuży niewątpliwie za hasło do podobnych kroków w innych krajach. Lecz jakie będą jej następstwa? To pytanie, napozór niezależne, pozostaje w ścisłej łączności przyczynowej z innem, a mianowicie, czy możliwy jest dozór ze strony inspektoratu fabrycznego nad pracą domową? Zdaje się, sami projektodawcy o tem wątpią. Idzie im jednak o co innego. Ciągłe zaglądanie inspektora do mieszkań dla przestrzegania dostatecznej ilości powietrza, czystości itd., musi znacznie podnieść koszty produkcyi i uderzy w najwrażliwszą stronę przedsiębiercy — w jego kieszeń. Główna a nawet jedyna pobudka uciekania się do produkcyi domowej, taniość siły roboczej, zniknie. Przemysł domowy ulegnie kapitalizacyi, wystąpi fabryka z przedsiębiercą odpowiedzialnym. Ważnym jest właśnie ten punkt w tegorocznych bilach. Uciekają się one do kapitalizacyi, jako środka usunięcia pewnych niedomagań społecznych. Otóż należy wspomnieć, że w kapitalizacyi widzą dziś anglicy istotną deskę zbawienia. Rozumie się, mamy na myśli głosy najmickie. Już przed dziesiątkiem lat Eccarius wskazywał na kapitalizacyę krawiectwa, jako na jedyny środek zniesienia panującego w przemyśle domowym wyzysku. Obecnie taki pogląd wzmógł się jeszcze bardziej. Mamy właśnie przed sobą pracę niejakiego Leathama. Wymaga on, aby państwo wprowadziło maksymalny 8 godzinny dzień pracy i powstrzymało zmniejszenie płacy. Co z tego wynika? Autor bardzo jasno pojmuje wszystkie następstwa takiej reformy: bankructwo drobniejszych zakładów, dalszą centralizacyę przemysłu, pojawienie się różnych trustów, karteli, cornerów. Centralizacya ta podniesie wydajność pracy i pozwoli dzień maksymalny sprowadzić do godzin 7, później 6. Jednocześnie kartele będą coraz bardziej rozwijały się, upraszczając produkcyę na przestrzeni całego kraju, jak to ma już dzisiaj miejsce na kolejach żelaznych. Uproszczenie to umożliwi nowe wtargnięcie państwa: stworzenie trybunałów pracy, regulujących urzędownie wysokość zarobku... Reforma ta będzie wstępem do dalszych zmian. Słowem trade-unionista angielski, a tembardziej teoretycy ruchu najmickiego sądzą, że rozwiązania zagadnień społecznych obecnej chwili nie należy szukać w drobnomieszczańskiem sarkaniu i wysnuwaniu ideałów antikapitalistycznych, lecz w zmuszaniu kapitalizmu do dalszego rozwoju i w ochranianiu robotnika od ujemnych skutków jego.

*K. R. Żywicki.*

---

## BADANIA NAUKOWE.

### HEREZYE O MUZYCE.

Nader oryginalny pogląd na cywilizacyjne znaczenie muzyki wypowiedział świeżo jeden z koryfeuszów szkoły „najmłodszych

---

całej kuli ziemskiej. Mówiła tak spiesznie, dużo i długo, że słowa zlewały się w jedną bez końca i początku kaskadę, w której tylko intonacya głosu wznosiła się i opadała. Dziecko tymczasem zbliżyło się do ojca, wsparło się o jego kolano i podniósłszy do góry kudłatą, całą w kasztanowatych pierścionkach głowę, pojętne oczy wlepiało w twarz matki. Chaim słuchał opowiadania żony i czuł na swem kolanie miękkie dotknięcie dziecinnego ciała. Twarz jego rozpogodziła się, usta przybrały wyraz błogiego uśmiechu. Oderwał oczy od roboty i spojrzał na dziecko. Ono, przechyliwszy główkę, podniosło na niego szafirowe, w świetle lampy jak brylanty błyszczące źrenice. Patrzyła na ojca badawczo, a cała jej postać śmiała i świadoma swych zachceń zdawała się mówić: nie oddam! Tu już Chaim nie mógł wytrzymać; ręka jego utonęła w bujnych kędziorach dziewczynki, schylił się i pocałował rumiany jej policzek.

— Nu, bierz ty jego sobie, "już ja tobie odbierać jego nie będę.

Odnosiło się to do owego skrawka materyi, który dziecko ciągle do piersi tuliło. Tego tylko trzeba jej było. Zawróciła się i klepiąc głośno bosemi nogami po zabłoconej podłodze, pobiegła ze swym skarbem ukryć się za piecem.

Małka tymczasem przysiadła się do męża i poczęła przerzucać kawałki i skrawki wykończającej się roboty.

— Chaim — ozwała się przeciągle.

— Nu?

— A czy tu z tego wszystkiego nie będzie spodniczki dla Ryfki?

Potrząsł głową przecząco.

— Chaim — ozwała się znowu po chwili — a jakby jej z tych oto małych skrawków uszyć sukienkę, to byłaby fejne — ustami cmoknęła i głowę na bok przychyliła.

— Nie można — powoli odpowiedział Chaim.

— Ćś! — cmoknęła znowu Małka — co by to była za suknia, co za rarytna sukienka! Na szabas w niej iść można, choćby na sam środek bulwaru! Jaka Ryfka byłaby w niej ładna, jak cukier!

Chaim już milczał.

— Ja dużo nie wezmę: ot te dwa skrawki; czy to jej wiele potrzeba? Okruszynka ta złota! Jeszcze te, widzisz! A ten, co ona sama wzięła — oh, jakie to rozumne dziecko! — i wszystko będzie. Tobie już to przecie niepotrzebne. Nu, Chaim, ja biorę?

— Tamta krzyczeć będzie — półgłosem odzywa się Chaim.

— Co to krzyczeć! Czego krzyczeć! — wybuchła nagle Małka, błyskając oczami. Na co to jej? Czy drugą suknię z tego uszyje? Może handlować tem będzie? Czy to ona nie pani, czy to u niej nie będzie leżeć bez żadnego użytku i dwa, i cztery, i dziesięć lat! Pewno, niech leży, niech gnije, a biedna Ryfka nago chodzić będzie, taka śliczna, taka rozumna!

Desperacki lament brzmiał w tym wykrzykniku i wysokimi tonami rozlegał się po izbie. Chaim milczał już i szył pilnie, jakby niemy i głuchy; usta tylko ułożyły mu się w taki wyraz, jakby żuł wielką jakąś gorycz.

Małka, wykrzyczawszy się, spojrzała z pod oka na męża, pozbierała wybrane skrawki, zwinęła je i wziąwszy z sobą, cofnęła się w głąb izby.

Przez chwil kilka panowała cisza, w której tylko plusk wody w balii i turkot rozklekotanej maszyny słyszeć się dawał.

Ciszę tę przerwał naraz głos Lejzora.

— Tate, ja już skończył — ozwał się powoli i z cicha.

— Daj — odrzekł ojciec, nie podnosząc oczu.

(D. c. n.).

*W. Dal.*

Niemiec," Henryk Hart *). Utrzymuje on, że istotny wpływ tej sztuki ogranicza się na usypianiu i odurzaniu duszy ludzkiej. Ponieważ zaś powstałe pod tym wpływem rozmarzenie i podniecenie zmniejszają samowiedzę i popęd do czynu, wprowadzają zamęt chaotyczny i rozkład do wszelkich funkcyj duchowych, są cofnięciem człowieka do zwierzęcości — przeto każdy, kto dąży do wyższego rozwoju, powinien unikać muzyki, owej, jak mówi, „wabiącej syreny, kusicielki do uciech zmysłowych."

Uzasadniając ten swój pogląd, Hart przywodzi następujące argumenty:

Muzyka, zdaniem jego, jest sztuką czystego uczucia. Działa ona nie na mózg, nie na ducha, ale na nerwy, na zmysłowość naszą. Mózg wprost zostaje przez nią ubezwładnionym. Któż byłby w stanie wyobrazić sobie jakieś poważniejsze rozmyślanie przy akompaniamencie muzyki? Toż samo, co o duchu, powiedzieć można i o najwyższem, etycznem działaniu naszem. Muzyka może stać się pobudką do wszystkich czynności poziomych, fizycznych i zmysłowych, może wprawić w zapał wojownika i natchnąć miłością płomienną kochanka. Ale do czynu etycznego zagrzać nie zdoła, zdolność tę posiada wyłącznie słowo. Czyn, wypływający jedynie z usposobienia chwilowego, nie oparty na jasnem poznaniu, ma wartość rzeczywistą, lecz nie etyczną. Uczta, sprawiona uszom, co do istoty swej ani na jotę nie stoi wyżej nad ucztą dla nerwów smaku i powonienia. Zapalonym melomanom może to wydawać się zbezczeszczeniem ich ołtarzów, jednakże tak jest: użycie, jakie daje muzyka, w gruncie rzeczy nie przewyższa tego, jakie daje wino. I muzyka i wino są środkami pobudzenia i podniecenia, bodźcami uczucia, dążącego do wyzwolenia się z cielesności. Różnica tylko ta, że przyjemność z tonów przenika w głębsze sfery systemu nerwowego i szersze obejmuje zakresy. Cywilizacya wszakże w najwyższem swem znaczeniu zaczyna się tam dopiero, gdzie rozkosze zmysłowe schodzą na plan ostatni; nie pielęgnowanie tych rozkoszy, lecz raczej ich pokonywanie — jest jej celem.

„Przy pomocy tonów — mówi autor — i zwierzę usiłuje wprawić się w stan ekstazy. Ażeby przejść w szał miłosny, śpiewa słowik. Toż samo stara się osiągnąć dziki, gdy bije w bęben lub jednem naczyniem miedzianem uderza o drugie; chce ogłuszyć się i odurzyć. Cały świat dostępny jest dźwiękom, nikt nie usuwa się przed ich działaniem. Muzyka właśnie jest sztuką czystej zmysłowości i dla tego najpopularniejszą, najbardziej ulubioną przez masy. Gdziekolwiek panuje i ma swoje siedlisko duch mas, tam wszędzie uprawiana jest muzyka." W dalszym ciągu dowodzi, że wskutek tej popularności właśnie staje ona w sprzeczności z właściwemi zadaniami wszelkiej cywilizacyi, bo co wzburza i cieszy masy, stanowi zawsze zmysłowo-zwierzęcą stronę natury ludzkiej. Najwyższe poznanie i najwyższa etyka roztwierają się dla niewielu tylko. A że muzyka jest sztuką mas, przeto i sposób, w jaki ona oddziaływa, jest tak pospolity. Narzuca się ona nawet temu, kto jej nie chce. Z obrazu, z książki korzystam w ciszy sam jeden; ale przed muzyką nigdzie nie jestem bezpieczny. Hałaśliwie i z bezczelnością wdziera się ona do mego ustronia, a popisujący się nią nie pyta nawet, czy w danej chwili do jej słuchania jestem usposobiony.

Utrzymywał wprawdzie Konfucyusz, że, chcąc dowiedzieć się, czy naród jaki dobrze jest urządzony i uobyczajony, należy posłuchać jego muzyki. Ale, podług Harta, wyrzeczenie to trafnem jest tylko ze stanowiska chińskiego. Tam bowiem, gdzie panuje muzyka, jednocześnie panuje i użycie. Ludzie niezbyt poważnym oddają się rozmyślaniom, o wszystkich kłopotach bytu, o wszelkich dokuczliwych wątpliwościach ducha każe im zapominać odurzenie. To też muzyka przedewszystkiem kwitnie u ludów, które niezdolne są do podniosłości duchowej i za to tem pilniej hołdują wszelkim uciechom zmysłowym. Cyganie prawie wszyscy rodzą się muzykami.

Teoretycznemu przecenianiu tej sztuki dał początek Schopenhauer, którego system estetyczny, zdaniem Harta, wymaga tego. W systemie tym, pomieściwszy szczęśliwie wszystkie sztuki, jako naśladowanie świata zjawiskowego, tylko muzyki nie mógł filozof podprowadzić pod to pojęcie, ponieważ ona ze światem tym żadnego niema zetknięcia. Musiał więc zrobić z niej upostaciowanie leżącego na dnie wszech rzeczy pierwiastku bezświadomego. Pierwiastek zaś ten — a na to nie poradzą żadne frazesy górnolotne — jak go określają Schopenhauer i Hartman, nie jest w nas niczem innem, jak stroną zmysłową, zwierzęcością, której nie przeniknęły jeszcze ani świadomość, ani duch.

Im głębiej w więzach zmysłowości spowity jest duch, tem silniejszych dla wyswobodzenia się potrzeba mu środków pobudzających. Wszystkie sztuki są środkami tego rodzaju; na najniższym szczeblu stoją atoli muzyka i taniec, gdyż najmniej oddziaływają na ducha. Nie można być człowiekiem w prawdziwem tego słowa znaczeniu bez dążenia do poznania i świadomości etycznej, ale któżby śmiał twierdzić, że tak samo nim być nie można bez muzyki?

Faktyczne przecenianie jej jest koniecznością naszych czasów. Wszędzie i zawsze ona rozbrzmiewa. A jednak każda godzina przyjemności muzykalnej oznacza godzinę niemyślenia i bezczynności. Zapaleńcy muzyczni w sztuce swojej widzą najwyższy wytwór ludzkości. Czy jednak nie sami gotowi są przyznać, że jeśli choć połowę czasu, jaki poświęcają swojej namiętności, zużyją na kształcenie ducha, na czyny miłości bliźniego, daleko wyższych jeszcze w ten sposób dokonają rzeczy i o wiele więcej przyczynią się do postępu cywilizacyi?

Ale najciekawsze to, że, jak twierdzi Hart, istotę muzyki w tym samym duchu, co on, czuło już i określało dwóch mężów, po których najmniej by się tego spodziewano: Ryszard Wagner i filozof Nietzsche, kiedy jeszcze nim się upajał. Wszak estetyka Wagnera, rozwinięta w dziele jego „Opera i dramat" wychodzi z zapatrywania, że musi wziąć do pomocy słowo, przylgnąć do niego i podporządkować mu się. Wprawdzie artysta-Wagner z pozoru tylko usłuchał głosu estetyka, u niego znów słowo tonie w muzyce, a duch — w zmysłowości. Ta sztuka Wagnerowska atoli w Nietzschem najlepszego znalazła tłomacza. W rozprawie „Narodziny tragedyi z ducha muzyki" wyraża ukontentowanie, że sztuka znów stała się dyonizyczną, bachancką, dytyrambiczną, że zrzuciła z siebie łagodność apollinową i przejrzystość, że znów przybiera szatę mistyczną i odurzającą. Brzmi to bez wątpienia piękniej, aniżeli gdy powiem: „upojenie," „podrygi," „użycie," ale wychodzi na jedno. I w ten sposób entuzyasta wagnerowski wyrokuje o muzyce naszych czasów „podnoszącej umysł i duszę." Od owego czasu jednak Nietzsche się nawrócił. Odkąd nauczył się cenić Voltaire'a, przekonał się, że więcej znaczy torować drogę światłu ducha, aniżeli marzyć wśród zmierzchu mistyki, że przejrzystość do wyższych zmierza dziedzin, aniżeli odurzenie pijackie. Postęp tamten budzi w człowieku zwierzęcość, ten — boskość. Sztuka najgłębsza rośnie i działa wśród ciszy, a nie na gwarnym rynku koncertów i teatrów.

„Zadaniem uwag niniejszych, kończy Hart, nie jest zalecanie ascetyzmu. Ludzkość długo jeszcze nie będzie dość silna duchowo, aby módz obejść się bez bodźców uczucia: wina i muzyki. Niechaj używa. Ale wśród używania niech nie zapomni o celu, jaki jej został wytknięty. Niech nie szuka odurzeń i nie uczyni z niego przyzwyczajenia powszedniego. Niechaj muzyce nie daje miejsca takiego, które zbyt zacieśnia obszar dążeń duchowych. Zbytek użycia niech będzie i zostanie dziedziną arystokratyzmu wagneryańskiego. Kto pojął wszelako, co to znaczy być człowiekiem, niechaj z otuchą zacznie wprawiać się w nierozumienie muzyki." *)

*Ad. J. Cohn.*

*) „Ketzerische Glossen zu einer Zeitfrage." Freie Bühne. Zeszyt 8 i 9, r. 1891.

*) Daliśmy miejsce tym wywodom, ażeby na przykładzie okazać czytelnikom, w jakie tonie głupstwa skacze wycieńczony a pretensyonalny duch naszych czasów dla wydobycia z nich pereł oryginalności. W jednem miejscu powstaje szkoła wieszczów, uprawiająca poezyę dźwięków bez sensu, w drugim występuje apostoł wyganiający muzykę z życia ludzkiego. Oba hasła godne siebie. Co do Harta, radzibyśmy wiedzieć, jak on każdą chwilą swego istnienia posuwa naprzód cywilizacyę i wiedzę? *Red.*

# LITERATURA I SZTUKA.

## LITERATURA POLSKA.

Józef Rogosz. *Karyerowicz* (Ciche tragedye), powieść, 1890.

Autor dotyka wprawdzie istotnej bolączki społecznej, nie czuć jednak w dotknięciu tem znajomości rzeczy i biegłości lekarza. Wskazując na ciele społecznem jakieś wyrzuty, nie powiada on, czy są to krostki przypadkowe, skórę tylko oszpecające, czy też ujawniają zatrucie krwi jadem. Satyra jego, piętnując jednostki, a nie wspominając o pokrewieństwie, łączącem je z rodziną społeczną, sprawia wrażenie agenta, który ściga wymysłami złoczyńcę, dojrzawszy go przypadkowo za pasem granicznym, a nie nie wie o tem, że po wszystkich gościńcach wielkich i drożynach małych, wewnątrz kraju uwija się niezliczone mnóstwo jawnych lub zamaskowanych łotrów.

Laseczník, znaleziony w kropelce krwi pod mikroskopem, jest dowodem zakażenia nie tylko tej kropelki lub organu, z którego zaczerpniętą została, lecz całego strumienia krwi krążącego po ciele żywej istoty. Takim laseczníkiem jest „Karyerowicz." Krąży on po wszystkich tkankach społecznych. Rabuś z publicznej drogi lub złodziej pospolity słuszniej uważani być mogą za jednostki, z łona społeczeństwa wyrzucone na podobieństwo ropy, wydzielonej w postaci pryszczyka, Karyerowicza zaś mikroskop wskaże nam zawsze, skądkolwiek krwi społecznej utoczymy. Zarazek ten istnieje tak dawno, jak społeczeństwo, które go karmi. Mnożył się on i podlegał przemianom wraz ze wzrostem i przemianami kultury społecznej, lecz dopiero współczesna, wprowadziwszy w grę życia ogromną ilość czynników, niesłychanie drażniących pożądliwości ludzkie, spowodowała z jego strony liczebność potworną. Przyjąwszy formy bardziej subtelne, upodobnił się on niejako do krwi zdrowej, stając się trudniejszym do wykrycia. Zakaża wszystkie stany: rolnik, żołnierz, poeta, bankier, uczony, artysta, rzemieślnik, dziewczyna uliczna — zarówno marzą o karyerze. Nie oszczędza nawet wieku młodzieńczego — dzieci także marzą o niej. Nie słyszą one od rodziców: ucz się, ponieważ wiedza jest rozkoszą, lecz — ucz się, ponieważ patent szkolny i dyplom uniwersytecki otworzą ci drogę do posady. Będziesz miał wtedy tyle i tyle pieniędzy, a za nie — takie i takie przyjemności. Zarazek ten jest dążnością egoistyczną i niemoralną, jadem dla idealnych pierwiastków życia, kością rozniecającą niezgodę. Są dwa hasła: 1) zdobyć majątek

i błyszczące stanowisko za jakąkolwiek cenę i 2) rozwinąć zdolności wrodzone w kierunku pożytecznym dla ogółu. Pierwsze ma na celu użycie, drugie — zaspokojenie potrzeb fizycznych i moralnych. Pierwsze wywołane jest podnieceniem chorobliwem, drugie — dążnością naturalną. Pierwsze nie każe kochać i pozwala gnębić, drugie oparte jest na poszanowaniu bliźniego i rodzi miłość. Pierwsze wskazuje wszelkie środki, zalecając głównie spryt i przebiegłość, drugie — tylko pracę. Pierwsze wyznaje Karycrowicz, drugie — człowiek fizycznie i moralnie zdrowy. Gdy ten ostatni usiłuje zostać w mechanizmie społecznym szrubką użyteczną, pierwszy rozkręciłby cały mechanizm, jeśliby to korzyść przynieść mu miało.

Opanowanie wszystkich dążności ludzkich przez jedną stanowi objaw takiej siły, iż przyczynowo związany być musi z całą siecią objawów, stanowiących ustrój społeczny. Tym sposobem perspektywa obrazu „Karycrowiczów“ jest bardzo, jak widzimy, głęboką. A tego właśnie pogłębienia w powieści p. Rogosza nie dostrzegamy. Jego wizerunek Karycrowicza, nawet jako pojedyncza sylwetka jednostki nikczemnej i szkodliwej, zalet nie posiada. Brak mu przedewszystkiem cech oryginalnych. Autor dostrzegł Karycrowicza niejako w formie zgrubiałej, bijącej w oczy, pospolitej, przedstawił go zaś — szablonowo.

Bohater powieści jest to przystojny samiec, sprytem, i przebiegłością obdarzony. Odgadnąć łatwo, iż autor zapisze go do bractwa łowców posagowych, tak szczególnie przez melodramat powieściomy umilowanych. Obok rojeń o bogactwie i rozkoszach świata, Roman Świerczykowski żywi ambicye arystokratyczne. Wprawdzie ojciec jego był ekonomem, a matka córką kucharza, że jednak nosiła nazwisko Krasickiej i miewała za młodu stosunki dwuznacznej natury z panami, przez nią więc zaszczepione wybujały u syna dążności nad sferę jego sięgające. W dzieciństwie podsyciła je znajomość i poufały stosunek z paniątkami, dziećmi księcia, u którego ojciec jego służył. Rodzice wcześnie go odumarli. Schedę po nich zużytkował na to, aby z pomocą dobrych kolacyj, szampana, dużej przegranej w karty itp. wkupić się do towarzystwa młodzieży arystokratycznej. Zabrakło mu pieniędzy jeszcze wprzód, nim ukończył uniwersytet; udał się więc pod opiekę damy nie młodej, lecz bogatej, która za cenę młodzieńczych powabów był mu zapewniła. Ze skandalicznego stosunku wycofał go powien życzliwy mu człowiek, filantrop, który, ujęty pozornemi zaletami młodzieńca, zaofiarował mu pomoc. Głównego celu swego, którym był ożenek z panną bogatą i arystokratycznego pochodzenia, dopiął drogą brudnej intrygi i pospolitej hypnozy miłosnej, zastosowanej do dziewczęcia, nieznającego ludzi i obdarzonego naturą czułostkową. Doszedłszy do szczytu, o jakim marzył, począł się staczać. Majątek przehulał, żadnego wybitnego stanowiska nie zajął i żonę opuścił. Zawiązał stosunek z żoną swego dobroczyńcy, pokrewną mu duchem awanturnicą. Razem tułali się za granicą i razem zginęli w czasie pożaru w wiedeńskim Ringteatrze.

Historya ta, jak widzimy, nie nowa, wiele razy bowiem powtarzała się w sensacyjnych artykułach pisemek brukowych. Obok tego, iż oklepana, jest ona nadto w różnych okresach nieuprawdopodobniona. Osioł złotem obładowany przeskoczy z łatwością mur arystokratycznej twierdzy, zwłaszcza gdy załoga jej nieco wychudła, karmiąc się po spożyciu dóbr doczesnych tradycyą; ale goły awanturnik, choćby był obdarzony ładną twarzyczką, nie potrafi, oczkując na ulicy lub w kościele, zdobyć sobie za żonę bogatej hrabianki, najwyżej mógłby zostać kochankiem zakulisowym. Jeśli zaś wypadek przeciwny zdarzyć się może, to poruszy on więcej i inne sprężyny, niż te, jakie widzimy w powieści.

„Ciche tragedye“ w tytule odnoszą się do tej części obrazu, w której odbija się los ofiar, jakie Karycrowicz na drodze do celu swego zostawia. Taką ofiarą jest hrabianka Szumińska, która została żoną bohatera, taką jest również córka Brzytwickiego, Karyerowicza innego typu, starego pieniacza. W postaciach tych mało jest życia, a żadna psychologicznie nie opracowana.

*F. B.*

### MIĘDZYNARODOWA
## WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH
### W BERLINIE.

*14 maja.*

II.

Oddział niemiecki i architektura.

Z natury rzeczy największy oddział na wystawie berlińskiej zajmują Niemcy, a każde z ich miast, w których kwitnie sztuka, otrzymało po parę sal.

Rozgłos akademii düsseldorfskiej, która w pierwszych dziesięcioleciach bieżącego wieku wydała wielkich mistrzów, dziś znacznie już zmalał. Upadek ten uwidocznia też wystawa obrazów: ani jednego w niej dzieła o szerszym pomyśle, krajobraz przeważa, a Rocholl, znany malarz bitew, ciągle jeszcze powtarza dawno utworzone typy kawaleryi niemieckiej i parskających koni.

Za to Monachium, stojące dziś na czele sztuki niemieckiej, nadesłało mnóstwo płócien, zasługujących na uwagę. Brak wprawdzie religijnych obrazów Uhdego, lecz po za tem oddział monachijski przedstawia wybornie wszystkie kierunki. Są więc najprzód obrazy poetyczno-mistycznej natury, w których celuje Gabriel Max. Widzimy prześliczną kompozycyę wielkich rozmiarów Brunona Pilgheina „Ciemna.“ Kobieta młoda jeszcze, lecz wynędzniała, kroczy o kiju przez pola; w zamknięte jej powieki przedziera się słońce, budząc wrażenie czerwonego koloru; sądzi więc ciemna, że dokoła ziemia zarośnięta purpurowym kwiatem maku polnego, a artysta przedstawił fantazyę jej, zapełniając obraz aż po horyzont grzędami maków czerwonych. Jest to więc fantazya wysnuta w barwie czerwonej. Franciszek Stück znów obrał ciemnoniebieską i stworzył w niej demonicznego Lucyfera, którego możnaby wziąć za dzieło Böcklina, gdyby katalog temu nie przeczył. Lucyfer, postać naga, żylasta, niebieskawoczarna, przykucnął gdzieś w ciemności, opierając brodę na rękach; z ponurych mroków wyglądają jeno niewyraźnie skrzydła jego, z których bije jakieś światło błękitnawe i oczy żółte, fosforycznie błyszczące.

Walter Firle uprawia malowidło rodzajowe, wprowadzone przez francuzów, a niesmacznie działające nieustosunkowaniem rozmiarów do treści. Przedstawia on ubogą izdebkę, w której na katafalku spoczywa młoda dziewczyna; stara jej matka, o twarzy boleścią pooranej, czuwa u trumny, a przez drzwi otwarte wstępują z ulicy ludzie ciekawi lub współczujący. Są to postacie naturalnej wielkości, z wielkim oddane realizmem. Frithjof Smith, to bezsprzecznie najznakomitszy dziś reprezentant „otwartego powietrza“ monachijskiego. Jego „Gänseliesel,“ pasterka leżąca na łące w pełnym żarze słonecznym, jest dziełem mistrzowskiem, wskazującem drogę artystom młodego pokolenia. Smith jest też znakomitym portrecistą, o czem świadczy wielki wizerunek Ibsena i prześliczny mały młodej pianistki wiedeńskiej. Mistrzowskim jest portret cesarza Wilhelma II, malowany przez Lenbacha. Artysta ten, słynący umiejętnością uwidoczniania charakteru, przedstawił cesarza w hełmie i płaszczu kirasyerskim; jak zwykle, ukazał on tylko popiersie, lecz o ileż więcej charakterystyki w tej głowie i w ruchu ramion, aniżeli w całej postaci monarchy, oddanej kilkakrotnie przez innych malarzy, w ich rzędzie nawet przez Angelego!

Najpiękniejszy obraz religijny oddziału berlińskiego pomieszczono w jakimś zakątku budynku pobocznego, gdzie go odkryłem przypadkowo. Jest to „Golgota“ Hendricha. W nocy gwieździstej samotny przechadza się Chrystus po skalistych pagórkach, otaczających Jerozolimę. Blade światło gwiazd zlewa całą okolicę barwą szarawą, jednostajną. Chrystus, splotłszy ręce, stanął w zamyśleniu głębokiem; długi cień jego przerzyna w poprzek czarną szczeliną, tworząc obraz krzyża. Dziwnie wzruszające jest przeczucie tragicznego losu, przeniesione z piersi samotnego mistrza w symbol zewnętrzny.

Z kompozycyj, odbiegających od życia codziennego, zasługuje na wzmiankę „Echo“ Kurta Agthego. Jest to uosobienie zjawiska przyrody w duchu wielkiego poety-malarza Böcklina. Pod stromą ścianą skały szarawej widzimy nagą postać dziewiczą, z ręką przy ustach, snać wołającą w dal, a raczej odpowiadającą odgłosem. Z po za skały przeziera morze błękitnawe.

Böcklin sam, którego utwory pomieszczono w oddziale szwajcarskim, wystąpił z trzema dziełami o bardzo nierównej wartości. Ucieleśnienie „Ciszy morskiej,“ to obraz o tak potężnym czarze mistycznym, jak „Wyspa zmarłych“ lub „Walka centaurów.“ Na zielonym, omszonym szczycie skały, wystającym z morza, spoczywa syrena. Czerwonozłota ta postać z rybim ogonem, połyskującym łuskami o barwach tęczowych, tyle ma w sobie życia, że każdej chwili zda się zwinnie popłynie nurtami; ciemne jej oczy wpatrują się w widza z wyrazem przejmującym zgrozą. Koło niej trzy mewy siedzą nieruchomie na kamieniu, a drugi potwór morski, o ciemno-niebieskim ogonie, krąży w wodzie koło skały. Inne płótna Böcklina zdradzają rękę mistrza, lecz nie oryginalną jego fantazyę: ani „Zuzanna w kąpieli,“ ani „Świątynia Bachusa“ nie zasługują na szczególniejszą uwagę.

Wróćmy do oddziału berlińskiego. Są tam obrazy rodzajowe większych rozmiarów, należące do najcelniejszych na wystawie. „Przędzalnia“ Liebermanna, to jedna z prób zdobycia dla sztuki typu robotniczego, w duchu owego socyalizmu z paletą, którego objawy spotkaliśmy w Belgii, a który w Berlinie obok Liebermanna uprawia prof. Skarbina. Wzruszającym jest utwór Heringa „Znaleziona,“ chociaż jest to nowa odmiana znanego tematu: na stole anatomicznym spoczywa trup młodej dziewczyny. Stara kobieta, której poruczono zmywanie trupów, przystępuje z gąbką do stołu i poznaje w skostniałej postaci własną córkę. Nie trudno domyśleć się krótkich a smutnych dziejów tej, która znikła z oczu biednej matki. Papego „Wierna aż do śmierci,“ to nie mniej wzruszający, ale i nie mniej zużyty temat: u łoża chorego klęczy dziewczyna w stroju ślubnym, a kapłan łączy ręce kochanków, który niebawem na wieki mają się rozejść. Promień słoneczny, ozłacający koniuszek pościeli, jest jedyną dekoracyą prostego, z prawdziwym talentem ułożonego obrazu.

Z niezliczonych portretów, zajmujących parę ścian oddziału berlińskiego, najbardziej zasługują na uwagę kobiece popiersia Karola Gussowa. Stoją one na wysokości prac Herkommera, Lenbacha i Richmonda, zarówno co do kolorytu harmonijnego, jak co do głębokości charakterystyki, a przedewszystkiem co do kompozycyi artystycznej, którą inni portreciści dziś zaniedbują.

Wystawa berlińska posiada też bogaty oddział architektoniczny, w którym Niemcy przodują. Najznakomitsi budowniczowie uczestniczyli w konkursie na pomnik Wil-

helma I, mający stanąć w prowincyi nadreńskiej. Ma to być dzieło olbrzymich rozmiarów, bardziej gmach lub twierdza, ozdobiona rzeźbami, aniżeli posąg; obliczony nie na plac miejski, lecz na szeroką perspektywę otwartego kraju. Wyobraźnia twórcza artystów miała więc pole do popisu, pobudkę do wyższego polotu; przyznać należy, że większość nadesłanych projektów odznacza się prawdziwą monumentalnością. Widzimy w nich wysokie wieżyce, portyki koliste, wiodące do pomnika, postacie wspinające się rumaków i potężnych lwów, czuwających u stóp żołnierzy, wspartych na rękojeści mieczów; zwłaszcza projekt Brunona Schmitza łączy te motywa wspólne wszystkim niemal projektom, w całość potężną i prawdziwie artystycznie pomyślaną.

*Ladawa.*

## MUZYKA.

Na pożegnanie sezonu. — Nowa kompozycya p. Noskowskiego. — Ostatni koncert Towarzystwa muzycznego z Mozartem. — „Lutnia."

Estrada koncertowa, bojąc się współzawodnictwa z zasłowiczonemi w maju drzewami (pozwólcie i *Prawdzie* odezwać się raz boską mową reporterów) ucichła i pozostawiła, zgodnie z przysłowiem o końcu dzieło wieńczącym, dobre po sobie wspomnienie. Zima ubiegła obfitowała wogóle w występy znakomitych sił świata muzycznego; popisywały się osobistości Warszawie jeszcze nie znane jak Stavenhagen, o którym swego czasu mówiliśmy, oraz Dreyschock i pani Carreno. Ta ostatnia, co prawda, nie mogła wynieść z naszego miasta pochlebnej o nas opinii; na własnym bowiem koncercie, mimo iż poprzedzony był jej udziałem w koncertach cudzych, grała przed haniebnie pustemi krzesłami. Fenomenalne jej mistrzostwo fortepianowe, zarówno jak i śliczny... kark, dla którego ktoś słusznie nazwał ją Carceno, nie zdołały zwabić do sal redutowych publiczności, zajętej biciem oklasków upiorowi dawnej Modrzejewskiej, ach, przepraszam pani Modrzejewskiej.

Wieczór ów to plama na jasnych kartach świeżo ubiegłego sezonu. Szczęściem została ona zobojętniona i przysłonięta ostatnimi czasy zjawiskiem ważniejszem, niż widok świetnego talentu wykonawczego, bo cenną kompozycyą swojskiego artysty. Mówimy, rzecz prosta o *Psalmie* Noskowskiego, w którym literatura muzyczna powitać musi, chcąc czy nie chcąc, dzieło wielkiego daru i powagi. Stanowi ono podniesienie do potęgi muzycznej — utworu, który sam przez się jest potęgą poetycką. Z psałterza Dawidowego Jana z Czarnolesia p. Noskowski wybrał pieśń na temat „Kto się w opiekę odda panu swemu," w której książę poetów polskich, wielki wieszcz naszego Odrodzenia zdumiewa niestarzejącą się nigdy siłą słowa, przedziwną klasycznością języka i uroczystą powagą. Te zalety jasności i szerokości motywów nie zostały snadź bez wpływu na kompozycyę. Cechuje ją bowiem znakomite zestrojenie wszystkich pięciu części w jedną całość i bogactwo efektów polifonicznych. Wstęp orkiestrowy (F major), któremu potem wtóruje chór, jest prawdziwie podniosły; piękne nawet dla profanów solo basowe w części drugiej (D minor), na temat „Stateczność jego tarcz i pukierz mocny," pięknie uzupełnia chór śpiewający: „Stąd wedle ciebie tysiąc głów polęże." Za to nasze oczekiwania zawiedzione zostały w numerze czwartym (B minor) ułożonym na kwartet z głosów solowych, gdzie ślicznemu tematowi „Będziesz bezpiecznie po żmijach gniewliwych," niewiadomo dlaczego autor dał melodyę, wcale nie licującą z mocą, co zwycięża lwy srogie i ogniste smoki. Natomiast numer ostatni „Słuchaj co mówi pan" jest fugą wspaniałą i łączy kunsztownie czystość stylu narodowo-kościelnego z siłą i grozą; a kończy się znowu prześliczną parafrazą wersetu: „Kto się w opiekę."

W ogólności kompozycya to dosyć przystępna, nie łatająca braku pomysłów melodyjnych zbytnią uczonością figur, a przecież każdego uderzyć musi względna prostota budowy jednolitej, wspartej na wyrazistych a szerokich podstawach. A przytem pełno w niej oryginalnej rytmiki i wdzięcznych powiązań partyi solowych z chórami i orkiestrą. Stanowiła ona punkt ciężkości własnego koncertu p. Noskowskiego, a powtórzona w Towarzystwie muzycznem zjednać sobie musiała nawet nieczułych i opornych.

Godzi się też zaznaczyć koncert zeszłotygodniowy, urządzony na pożegnanie z prawdziwymi melomanami przez pp. Polińskiego i Müncheimera. Ten ostatni z wielkiem namaszczeniem i starannością pomagał orkiestrze amatorskiej w wykonaniu jednego z największych arcydzieł muzyki— symfonii D major Mozarta. Nie pamiętamy już oddawna wrażenia podobnego czaru. Składają się nań: dziwnie pieszczotliwa słodycz głównych motywów, pogodny spokój, głęboki liryzm uczucia i tchnienie bajecznego bogactwa muzyki, połączonego z równiez bajeczną łatwością tworzenia. Gdy się słyszy te jasne i miękkie formy, łagodne zlewanie się tonów obok kryształowej przejrzystości i jasnych konturów, mimowoli powtórzyć się chce stare ale jare porównanie: Mozart to Rafael muzyki.

Tegoż samego wieczoru uraczono słuchaczów Beethovenem — aryą *Ah, perfido!* Bachem, Mehulem, Pergolesem (Nina) i Schubertem.

Nie wahamy się wyrazić najpoważniejszego uznania *Lutni* i jej twórcy oraz dyrektorowi p. Maszyńskiemu. Na każdym koncercie produkuje ona rzeczy nowe, jak w obecnym wypadku nader udatną przez swą śpiewność i szczerość piosnkę p. Niedzielskiego „Przy fujarce," w wykonaniu której chór szedł o lepsze z p. Sobolewskim grającym prześlicznie na klarnecie. Utworami znakomicie wybranymi i wykonanymi są „Wesele chłopskie" szweda Södermana i „Cyganie" Schumana. Natomiast traktowanie pieśni pielgrzymów z Tannhäusera mniej nam trafia do przekonania, jest ono u lutnistów nawskróś świeckie i trzeźwe, dalekie od głębokiego romantyzmu chrześciańsko - giermańskiego, jakim Wagner operę swą nawskroś owiał.

„Lutnia" swą starannością, godnością i zgodnością śpiewu zdołała sobie zjednać niezwykle liczną publiczność, która jej stale dochowuje wiary, a w której niema wprawdzie warstw sfanaberyowanych, lecz jest w całym komplecie prawdziwa, zdrowa inteligencya. Bo też tylko inteligencya jest w stanie zrozumieć całą wagę artystyczno-towarzyską poważnie uprawianego śpiewu chóralnego.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

## LISTY WIEDEŃSKIE

*12 maja.*

Sezon wystawowy w Wiedniu. — Projektowana wystawa muzyczno-teatralna. — Wystawa geograficzna. — Wystawa dywanów wschodnich.

Wiedeń, to najskłonniejsza może do wystaw stolica europejska. Corocznie odbywa się tu szereg większych i mniejszych; zdawało się, iż na razie cały zasób pomysłów w tym kierunku wyczerpany, że w roku bieżącym nastąpi przerwa w tym łańcuchu. I istotnie też, na wystawę wielką, jaką w poprzednich latach była rolniczo-leśna i przemysłowa, wiedeńczycy tego roku się nie zdobyli. Największą tegoroczną, pomieszczoną w gmachu rotundy, będzie wystawa zbiorów podróżnika Holuba. Lecz dopiero w r. 1892 odbędzie się inna w wielkim stylu — międzynarodowa wystawa muzyczna i teatralna, otwarta w setną rocznicę śmierci Mozarta. Będzie ona składała się z oddziału współczesnego i historycznego, a zawrze rękopisy, portrety, autografy, instrumenty, modele teatrów, dekoracye i rekwizyty teatralne itp., do czego dołączony zostanie szereg historycznych produkcyj muzycznych i teatralnych.

Na razie zadawala się Wiedeń wystawami mniej świetnemi. Po zamknięciu kostiumowej w muzeum austryackiem, przez czas krótki uwaga publiczna poświęcona była geograficznej, którą urządzono w auli wszechnicy w 500 rocznicę powstania katedry geografii. Wystawa ta była tem bardziej zajmująca, ile że archiwum wojenne tu po raz pierwszy pozwoliło publiczności zapoznać się z wybornemi pracami kartograficznemi Instytutu wojskowo-geograficznego, słynącemi głównie w XVIII stuleciu. Zwłaszcza oddział historyczny zawierał ciekawe dokumenty. Widzieliśmy tu najstarszy plan miasta Wiednia z r. 1540; kartę Tyrolu, sporządzoną z polecenia cesarzowej Maryi Teresy, a zawierającą parę jezior górskich, które dziś już nie istnieją. Na uwagę zasługują też mapy półwyspu Bałkańskiego. Jako cenną relikwię przechowują turecką kartę Bałkanu, odebraną turkom przy odsieczy Wiednia. Nowa mapa tureckiego sztabu generalnego, nabyta w Konstantynopolu z niemałym trudem i za drogie pieniądze, rozczarowała strategów austryackich; okazało się bowiem, że jest to mapa austryackiego sztabu generalnego, zaopatrzona jeno w napisy tureckie. Dla ludzi niefachowych najciekawszym i najbardziej pouczającym oddziałem wystawy jest zbiór krajobrazów geograficznych.

Najszersze koła zainteresowała natomiast wystawa dywanów wschodnich, urządzona przez Muzeum handlowe. Wiadomo, że dywany wschodnie przewyższały zawsze wyroby zakładów europejskich i że jako najwykwintniejszy wytwór starożytnego przemysłu azyatyckiego cenione były nietylko w Polsce, gdzie zapoznano się z niemi dzięki wojnom tureckim, lecz i w Europie zachodniej, dokąd przedostały się podczas wojen krzyżowych, następnie za pośrednictwem kupców weneckich i norymberskich. Lecz okazy prawdziwych dywanów wschodnich uchodziły przez długie wieki jako rzadkości nader cenne; spotykano je tylko w zbiorach najbogatszych książąt świeckich i kościelnych. Powszechnie zas posługiwano się wyrabianymi w Europie, zwłaszcza przez fabryki angielskie, belgijskie i francuskie. Na pierwszy rzut oka poznawano wyroby europejskie po naturalistycznych wzorach. Nie mogły one jednak współzawodniczyć ze wschodnimi, ani co do piękności kolorytu, ani co do trwałości. Dzięki ułatwionej komunikacyi, w naszem stuleciu dywany wschodnie coraz obficiej przedostawać się zaczęły do Europy, a w ostatnich dziesięcioleciach pobiły zupełnie jej wyroby. Zakłady europejskie musiały tedy zarzucić tradycyę własną i wyuczyć się fabrykacyi dywanów na sposób perski i smyrneński. Zamiarem austryackiego Muzeum handlowego było zebranie typowych wzorów wszelkich kategoryj dywanów wschodnich, aby przemysłowi europejskiemu ułatwić studyowanie ich ornamentyki i kolorytu, oraz techniki wyrabiania. Dzięki usiłowaniom całorocznym, zebrano istotnie najcenniejsze okazy, jakie są w posiadaniu muzeów europejskich i arystokracyi austryackiej, a nadto nakłoniono najsłynniejsze fabryki azyatyckie do udziału w wystawie. Widzimy więc

dywany ze wszystkich głównych fabryk perskich, z Azyi środkowej, z Kaukazu, z Anatolii, z Syryi, ze Smyrny, z Indyj, Arabii, Chin i Japonii, marokańskie i tunetańskie, a wreszcie wyroby nowo założonych fabryk bośniackich. Administracya austro-węgierska, spotkawszy w Bośni ślady starożytnego przemysłu tkackiego, dziedziczny w ludności zmysł dla wdzięcznej ornamentacyi, urządziła w Serajewie szkołę i pracownię dywanów; pracownia ta zatrudnia obecnie pięćdziesiąt robotnic, których wyroby odznaczają się smakiem, oryginalnością i trwałością, a od wytworów azyatyckich różnią się jeno odrębnością ozdób.

Wystawa dywanów wschodnich nie we wszystkich oddziałach ma cechę przemysłowej. Mieści ona też oddział t. zw. dywanów starożytnych, głównie ze zbiorów domu cesarskiego; są tam okazy tkanych ze złota i jedwabiu, będące raczej dziełem sztuki, aniżeli przemysłu.

*Stwosz.*

## FERDYNAND GREGOROVIUS.

(Wspomnienie pozgonne).

Ferdynand Gregorovius, zmarły przed dwoma tygodniami dziejopisarz niemiecki, należał do najsympatyczniejszych postaci w świecie uczonym dzisiejszych Niemiec. Była to natura nawskróś niezależna i swobodna; żył jako literat i w ciągu długiego życia swego nigdy nie uległ pokusie wstąpienia do urzędu. Zdobywszy sobie słynne imię, otrzymał od rządu pruskiego pensyę roczną, która mu ułatwiła dokończenie prac rozpoczętych.

Urodzony w r. 1821, w dwudziestym ósmym roku życia wydał pierwszą ceniejszą pracę literacką „Społeczne pierwiastki w Wilhelmie Meisterze Goethego.“ W rozbiorze tym zajął Gregorovius stanowisko nowożytne, obce ówczesnym historykom literatury. W Wilhelmie Meisterze upatrywał poemat, który odzwierciedla rozwój społeczny XVIII i XIX stulecia, nie w ciasnym jakimś odłamie jego, lecz w całym systemie, obejmującym kategorye indywidualności, wykształcenia, małżeństwa, wychowania, własności, pracy itd.

Pierwsze studya historyczne Gregoroviusa odnosiły się do epoki cesarza Adryana. Wydał je w r. 1851 p. t. „Historya cesarza Adryana i czasów jego,“ a dzieło to umożliwiło mu podróż do Włoch. Ulegając pociągowi charakterystycznemu dla niemców jeszcze w wiekach średnich, czuł od młodości tęsknotę do Włoch, a kiedy wreszcie stosunki pozwoliły mu pójść za tym pociągiem, zwiedził naprzód Korsykę, którą zbadał i opisał w dziele zajmującem poczesne miejsce w literaturze etnologicznej. Następnie, osiedliwszy się w Rzymie, przewędrował całe niemal Włochy, a owoce swych podróży zebrał w pięciu tomach p. t. „Wanderjahre in Italien.“ W pracach tych okazał niezwykłe mistrzowstwo pióra; opisy przyrody, charakterystyka ludu łączą się tu z rozbiorem pomników sztuki i wspomnieniami historycznemi.

Próbował też sił na polu poezyi. W pierwszej młodości ogłosił był parę prac beletrystycznych, między innemi „Werdomar i Władysław, pieśń z pustyni romantyki.“ Widok gruzów pompejańskich obudził w nim znowu natchnienie poetyckie, z którego powstał poemat sielankowy „Euphosion“ (1858), napisany w stylu klasycznym.

W Rzymie powziął myśl do największego, historycznego dzieła. Jest to „Historya miasta Rzymu w wiekach średnich.“ Uczeni włosi zebrali byli obfity materyał historyczny, lecz systematyczne jego opracowanie pozostawili rękom niemca. Gregorovius podjął się tej pracy nie dla tego tylko, że dzieje Rzymu średniowiecznego splecione są z historyą Niemiec. Miasto, które po dwakroć było ogniskiem świata cywilizowanego, raz potęgą absolutnego państwa, drugi raz potęgą absolutnego kościoła, miało dlań czar magiczny, przykuwało go przedewszystkiem poezyą swego wielkiego losu.

Na siedem lat przed najściem gotów Klaudyusz, ostatni poeta rzymski, stanął na Palatynie, dokąd odprowadził był cesarza Honoryusza; stamtąd spoglądał na Rzym niepokonany jeszcze i pełen zachwytu śpiewał o wspaniałej piękności pysznej tej stolicy świata, której świątynie połyskiwały złotem, której pomniki i kolumny sterczały ku niebiosom. W dwieście lat po nim biskup Grzegorz, stojąc na ambonie św. Piotra, porównywał olbrzymie to miasto do rozbitego naczynia glinianego, a naród rzymski do starego orła, co odarty z pierza, umiera nad brzegiem Tybru. A po ośmiu wiekach Poggio Bracciolini, stanąwszy na gruzach Kapitolu, już tylko powalone widział świątynie, rozbite architrawy, pokruszone łuki i bydło pasące się na forum; wówczas w duszy jego powstała owa kontemplacya o „Zmiennym biegu szczęścia.“ W trzysta lat po nim anglik Gibbon, spoglądając na Rzym, porastający już nowoczesnymi pałacami, powziął myśl napisania historyi upadku tego miasta. Gregorovius zaś, patrząc na ten Rzym nowy, dźwigający się z gruzów stolicy starożytnej, uczuł pragnienie zbadania, jakiemi drogami on doszedł po raz wtóry do władzy nad światem, jakie to żywioły zgromadziły się w tem mieście po głębokim jego upadku. Odrodzenie to i powtórne zdobycie władzy tłomaczy się niespożytą jeszcze ideą imperyum rzymskiego, którą objął w dziedzictwie kościół katolicki.

Gregorovius rozpoczął przygotowania do dzieła swego w r. 1855. Badał on nietylko archiwa rzymskie, lecz liczne inne zbiory włoskie i niemieckie z sumiennością prawdziwego uczonego. Dzieło jego sięga od zajęcia Rzymu przez Alaryka w r. 410 aż do zajęcia stolicy papieskiej przez żołnierzy Karola V w początkach Reformacyi (1527). Gregorovius nie poprzestaje na stwierdzaniu zdarzeń politycznych. Upatrywał on powołanie dziejopisarza w odsłanianiu żywego oblicza czasów minionych i kładł nacisk na stronę kulturalną. Obok dziejów rozwoju kościoła katolickiego, stosunku papieży do rzymian, walk papieży z cesarzami niemieckimi i z kontrkandydatami do mitry papieskiej, usiłowań ludu skierowanych ku zdobyciu starożytnej wolności republikańskiej, Gregorovius opisuje zwyczaje ludowe, przetwarzanie się starożytnego Rzymu w nowoczesny, kulturę nauk i sztuk.

Wielkie to dzieło ukończył w r. 1871, kiedy właśnie upadek państwa kościelnego zamknął dzieje Rzymu średniowiecznego. „Historya Rzymu“ doczekała się czterech wydań. Rada miasta Rzymu zaś, uznając pomnikowe jej znaczenie, sporządzić kazała przekład włoski i wydała go kosztem publicznym. Gregorovius zaś zaszczycony został obywatelstwem honorowem Rzymu. Był on pierwszym protestantem, który doznał tego zaszczytu. W towarzystwie rzymskiem ceniono uczonego niemieckiego; rody arystokratyczne, których dzieje splatały się z historyą Rzymu średniowiecznego, chętnie w domach swych widziały pisarza, który o przodkach ich wiedział więcej, niż one.

Po „Historyi Rzymu“ Gregorovius wydał „Historyę Aten w wiekach średnich,“ wypełniając luki, które dziejopisarstwo w tym względzie pozostawiło. Ateny tak ściśle powiązane są z Rzymem, że pracę tę uważał on za niezbędne uzupełnienie głównego swego dzieła.

Profesorowie niemieccy, którzy oschłość stylu i nudność treści uważają za cechę dzieł prawdziwie naukowych, odmówili swego uznania pracom Gregoroviusa; osądzili je za nieumiejętne i beletrystyczne. Hrabia Schack zaś, długoletni przyjaciel Gregoroviusa, tak tłomaczy ich stanowisko i postępowanie. „Nie trudno rozpoznać pobudkę, która nimi kierowała: była to zazdrość, że świetne zalety niezwykłych tych prac utorowały im drogę do kół najszerszych, podczas gdy własne ich, mozolne kompilacye pokrywają się pyłem w zakątkach bibliotecznych. Drugim powodem ich niechęci był duch cechowy, panujący w naszym świecie uczonym. Kto nie jest profesorem, docentem lub bibliotekarzem, tego członkowie cechu usiłują sparaliżować wszelkimi środkami. Lecz na szczęście zniesiono dziś cechy; kiepscy szewcy czeladnikowi robiącemu lepsze od nich buty nie mogą zabronić pracy, a gdy ganią tę jego lepszą pracę, świat ich wyśmiewa.“

*L.*

## JAN ALEKSANDER FREDRO.

(Wspomnienie pozgonne).

Chociaż z jednej strony Fredro syn, dziedzicząc po ojcu talent, zaprzeczył regule, twierdzącej, że dzieci znakomitych rodziców nie wznoszą się po nad mierność, z drugiej potwierdził ją o tyle, że spadek ów nie wyrównywał wcale bogactwu ojca. Stosunek uzdolnień obu Fredrów był poniekąd wykładnikiem dwu szkół, dwu epok twórczości scenicznej. Starszy należał do tego rodzaju, co Aristofanes i Molière, pisał dla literatury i teatru, drugi do tego gatunku, co Sardou lub Meilhac — pisał tylko dla teatru. Pierwszy z nich był autorem pięknych utworów sztuki poetycznej, drugi autorem zręcznych libret aktorskich. Dzieła pierwszego dotąd grywamy i czytamy, drugiego — tylko grywamy. Między ludźmi ukształconymi niewielu zapewne znalazło się obojętnych, którzy nie zajrzeli nigdy do wydania *Komedyj* Fredry ojca i niewielu ciekawych, którzy poznali „Consilium facultatis“ lub „Posażną jedynaczkę“ Fredry syna z książki. Te ostatnie bowiem były przeznaczone do widzenia, a dopiero gdy jakąś w nich postać przedstawił Żółkowski, nabierały szczególnego znaczenia. Bez aktorów Fredro młodszy jako pisarz wcale by dla ogółu nie istniał, a bez aktorów znakomitych nie zdobyłby najskromniejszej palmy.

Wszystkie jego prace posiadają krój fars, tj. wesołych karykatur, poruszających się żywo i lekko w ruchu scenicznym. Niektóre pomysły są pożyczane, ale rozwinięcie ich oryginalne, zręczne i w sposobności do uśmiechu obfite. Trudno rozmierzyć i rozważyć, ile tego śmiechu wywoływał autor, a ile nieporównany jego wykonawca Żółkowski, w każdym razie Fredro był pisarzem szczerze wesołym i bawić umiał. Zarówno wspomniane jego farsy, jak „Piosnka wujaszka,“ „Drzemka p. Prospera,“ „Wielkie bractwo“ i inne tryskały rzetelnym humorem.

Gdy ucieszny pisarz spoczął w grobie, wolno i należy zapytać, co po nim zostało? Kilka woreczków śmiechu, który może być i jest niezawodnie czynnikiem hygienicznym, pokrzepiającym, a więc pożytecznym, żadnych wszakże głębszych wzruszeń duszy nie daje. Fredro syn zmyślał zabawne sytuacye, ale nie rozmyślał. W jego żyłach nie płynęła ani jedna kropla krwi wielkich satyryków i humorystów; on świata poprawiać nie chciał, a nawet po za drobnemi ułomnościami nie wiedział, jak go poprawić. Był sam z natury wesoły, więc pragnął cudze smutki rozpraszać. Udawało mu się to nieraz wybornie. Literatura, której nic nie dał, nic po nim nie zachowa i nic w nim nie straciła; ale teatr długo jego farsami zasilać się będzie i żałuje, że go postradał.

## NOWE PRZEPISY.

Ministeryum oświaty wydało obecnie nowe przepisy, dotyczące egzaminów w gimnazyach i progimnazyach. Przepisy te wogóle, a w porze obecnej szczególnie zasługują na poznanie, ponieważ wprowadzają dość znaczne zmiany w sprawdzaniu wiedzy uczniów. Pierwszą i najważniejszą ich ulgą jest zmienienie, a raczej ograniczenie, tak zwanych *extemporaliów* łacińskich i greckich, czyli przekładów z języka ruskiego na starożytne. Wypracowania te, dzięki surowym wymaganiom dawnej ustawy, stanowiły najoporniejszą do pokonania trudność. Za najmniejszy błąd w etymologii — powiadają *Birżewyja Wiedomosti* — oraz za poważny w składni uczeń otrzymywał jednostkę, której następstwem było pozbawienie go prawa do dalszych egzaminów. Dwójkę, to jest stopień niedostateczny dawano za „brak wprawy we frazeologii łacińskiej" i za „niedostateczną znajomość prawideł akcentowania" greckiego; tak więc wypadkowy błąd lub osłabienie pamięci decydowały o zamknięciu przed młodym człowiekiem drogi do wyższego wykształcenia. Co do przekładów z języków starożytnych na ruski, to nowe przepisy kładą nacisk głównie na ścisłość w oddawaniu myśli autora utworu tłomaczonego. Odnośnie do matematyki, zamiast czterech zadań z jej oddziałów przepisy wymagają dwu: jednego z algebry, drugiego z geometryi. Zadanie z arytmetyki zniesione zupełnie, a z trygonometryi włączone niejako do geometrycznego, skutkiem tego, iż to ostatnie zawierać ma takie dane i warunki, iż dla rozwiązania go konieczne będzie wprowadzenie funkcyj trygonometrycznych.

Ważne jest również częściowe zniesienie ograniczeń, tyczących się przystępowania uczniów do egzaminów przejściowych, oraz do ustnych po przebyciu piśmiennych. Dawniej stopień niedostateczny z przedmiotu głównego odbierał prawo do egzaminów; obecnie nadano radzie pedagogicznej w pewnych wyjątkowych razach i na zasadzie pozwolenia kuratora okręgu naukowego możność powołania do egzaminów przejściowych nawet tych uczniów, którzy z jednego głównego przedmiotu otrzymali w ciągu roku stopień niedostateczny. Za główne uważane są obecnie: nauka religii, języki ruski, łaciński i grecki, oraz matematyka. Dalej nieco sięga ulga w egzaminach ustnych, tu bowiem rada pedagogiczna może pozwolić na egzamina ustne pomimo ujemnych wyników piśmiennego, jeśli tylko stopnie roczne, oraz znajomość uzdolnienia ucznia pozwalają wnosić, iż niedostateczność pracy piśmiennej była wypadkową.

Nowe przepisy skracają znacznie okres czasu, przeznaczony na egzamina przejściowe, dojrzałości i wstępne. Z tego powodu *Warszawskij Dniewnik* wypowiada następujące uwagi: Dawniej z całego roku zostawało zaledwie około 170 dni na wykłady i powtórzenie kursu. Tak mała liczba była skutkiem tego, iż egzamina przejściowe i ostateczne trwały dwa miesiące, wstępne zaś — dwa tygodnie. Rozporządzając nader krótkim przeciągiem czasu nauczyciel musiał poprzestawać albo na komentarzach do ciemnych miejsc w tekście podręcznika, albo też na prostem opowiadaniu lekcyi następnej. Było to połączone z tak małą korzyścią dla ucznia, iż właściwie uczył się on lekcyi sam, w domu i z pomocą jedynie podręcznika. Oderwane i pośpieszne wypowiedziane uwagi nauczyciela nie tylko nie ułatwiają uczniowi zadania, lecz przeciwnie czynią je trudniejszem, ponieważ pracować on musi nad skojarzeniem tych niejasnych śladów, jakie w umyśle jego zostawiły słowa nauczyciela, oraz nad związaniem ich z tekstem podręcznika. Ważną przeto rzeczą jest ustosunkowanie programu do okresu czasu przeznaczonego na wykłady i powtórzenie ich; do tego właśnie zdążają nowe przepisy, przeznaczając na egzamina przejściowe i dojrzałości nie więcej, niż trzy tygodnie przed wakacyami, oraz na egzamina wstępne nie więcej, niż tydzień w początku i końcu roku szkolnego. Ponieważ egzamina wstępne w końcu roku przypadają w tym czasie, co przejściowe, zatem okres obejmujący wszelkie egzamina w ciągu roku wynosi stosownie do nowych przepisów cztery tygodnie, zamiast dawnych dziesięciu. Tym sposobem nauczyciel zyskuje około 6 tygodni dla wykładów.

Dodawszy iż nowe przepisy wprowadziły nieistniejący dotąd egzamin ustny z języka ruskiego i jednego języków nowożytnych, będziemy mieli pojęcie o ważniejszych zmianach przez nie wprowadzonych.

*Q.*

---

## KARTKI.

**Hamulce kolejowe** nowej postaci są obecnie wypróbowywane prawie wszędzie. U nas na drodze W. Wiedeńskiej odbywają się próby z hamulcami Hardy'ego, które dają bardzo dobre wyniki. Doświadczenia te niekiedy dokonywane są z nieludzkiem ryzykiem. Jeden z inżenierów pruskich wynalazł nowy sposób zatrzymywania pociągów wjeżdżających na stacyę zapomocą bloka żelaznego i kauczuku. Pierwsze doświadczenie z tym przyrządem zrobiono niedawno w Poczdamie, wstrząsając najsilniejszemi nerwami. Złożono pociąg z lokomotywy, furgonu towarowego i kilkunastu wagonów. W środkowych znajdowali się urzędnicy i inżenierowie kolejowi. Maszynista i palacz, narażeni na największe niebezpieczeństwo, żądali po 50 marek, które im przyznano. Pociąg wbiegł na stacyę wolnym normalnym biegiem i uderzył o blok. Wstrząśnienie było silne, ale nikt szkody nie poniósł; pociąg zatrzymał się jak wryty. Następnie wykonano drugą próbę — okropną. Pociąg odprowadzono do stacyi Lichterfelde i stąd puszczono go z szybkością 20 kilometrów na godzinę. Na tym pociągu nie było już nikogo, nawet palacz nie chciał ryzykować. Tylko maszynista pozostał na lokomotywie, zastrzegł jednak przedtem, że w razie śmierci całkowitą jego pensyę pobierać będzie dożywotnio wdowa po nim pozostała. Pociąg wbiegł na stacyę poczdamską z całą szybkością, nie zwolniwszy biegu i przeleciał mimo platformy, na której stało paręset osób do świata kolejowego należących. Wszyscy zamknęli oczy, nikt nie śmiał patrzeć w stronę, gdzie pociąg miał o blok uderzyć. Nareszcie rozległ się przeraźliwy huk, wagony uderzyły o siebie z łoskotem, przypominającym strzał artyleryi, pociąg stanął. W tej chwili zabrzmiał świst lokomotywy i maszynista dał znak, że żyje. Rzucili się wszyscy ku niemu. Jak śmierć blady, oniemiały zeskoczył z lokomotywy, był zdrów i cały. Przyznano mu 1000 marek nagrody. Pociąg zaś nie doznał najmniejszego szwanku.

**Głos z grobu.** Londyńscy przyjaciele Browninga, znakomitego poety angielskiego, oryginalnie uczcili rocznicę jego śmierci. Mianowicie, zebrawszy się, puścili w ruch fonograf, przed którym Browning kiedyś w obecności Edisona przeczytał jeden ze swoich utworów. Obecni usłyszeli głos zmarłego poety ze wszystkimi odcieniami tonów. W jednem miejscu Browning zapomniał wiersza i przerwał deklamacyę słowami: „Zapomniałem, poczekajcie... już wiem." Następnie fonograf odtworzył jeszcze kilka strof, po których nastąpiła nowa przerwa. Brownig rzekł: „Jest mi nadzwyczajnie przykro, że tak często nie pamiętam własnych wierszy. Nie zapomnę nigdy w życiu wrażenia, jakiego doznałem z powodu pańskiego wynalazku, panie Edison." W tem miejscu wtrącił się jakiś obcy głos, który starał się podpowiedzieć poecie kilka wierszy, lecz wkrótce Browning znowu się zająknął i aparat ostatecznie zamilkł. Zbytecznem byłoby chyba opowiadać, jak wstrząsnął słuchaczami ten zagrobowy głos poety, którego powszechnie uwielbiano; w oczach wielu ukazały się łzy. Aparat oddał słowa Browninga zupełnie naturalnie, pomimo że w owym czasie nie zastosowano do niego wielu z późniejszych ulepszeń.

---

## PAMIĘTNIK.

### Zabawy świąteczne.

Miejski lud nasz — wiejski wynagradza sobie odpustami — z wielką trudnością godzi się na jedno stałe święto w tygodniu. Ile razy tylko może, zarywa bodaj kawałek poniedziałku i dołącza go do niedzieli. Ale jeżeli tu musi się przezwyciężać, to już w żaden sposób nie chce poprzestać na dwu świętach i dokłada sobie trzecie. Daremnie kościół i kalendarze powtarzają mu, że Boże narodzenie, Wielkanoc i Zielone świątki obejmują tylko po dwa dni, on trwa w swoim zwyczaju — trzydniowym. Trudno mu się dziwić w roku bieżącym. Wielkanoc była dżdżysta i chłodna, niedziela Zielonych świątek, a po części i poniedziałek — również; gdyby więc rzesza, która z upragnieniem wyczekuje owych uroczystości, nie zajęła na ten cel wtorku, nie miałaby wcale wiosennych rozrywek. Przeszło pięć tysięcy osób wywiozły statki tego dnia do Bielan, drugie tyle powędrowało pieszo i wozami. Ani wszakże lud nie powetował sobie straty w zabawach, ani dostarczyciele jego uciech — szkód w przedsiębiorstwach. Cicho te katastrofy nie odbijają się na giełdzie głośnem echem, nie obniżają jej kursów, nie wywołują popłochu handlowego, a jednakże są to dotkliwe klęski. W mieście tak dużem, jak Warszawa, istnieje liczny zastęp przedsiębiorców, opierających znaczną częścią swój byt na zabawach ludowych: są to właściciele młynów dyabelskich, karuzel, namiotów z wszelakiemi widowiskami, przenośnych bufetów itd. Państwo wyśmiewa te budy, a może nawet dziwi się naszemu tu dla nich współczuciu, a jednakże w istocie swojej nie stanowią one nic gorszego od kosztownych cyrków, teatrów i zakładów restauracyjnych, w których sprawia sobie przyjemności publiczność wytworna i zamożna. Czy kto uczczając zjada kiełbasę, czy ostrygi, czy jeździ na karuzeli, czy w eleganckiej karecie, czy słucha tanich błazeństw w budzie, czy drogich w cyrku, czy słucha jasełkowych przedstawień w namiocie, czy skandalicznych — w teatrze, grunt rzeczy pozostaje wspólny. Jeżeli zaś ubolewalibyśmy nad restauratorem lub właścicielem tresowanych koni, psów i świń, gdyby go niepowodzenia zrujnowały, to dlaczegoż nie mamy litować się nad „dyrektorami" zabaw ludowych, którzy zbankrutowali podczas tegorocznych świąt? Niejeden z nich może włożył całe swoje mienie w huśtawkę, która mu nic nie przyniosła, niejeden z rozpaczą patrzał na swój nieczynny młyn dyabelski, po którym wiele sobie obiecywał. Wielkanoc rozdarła te nadzieje; zawisły one na Zielonych świątkach, które rozwiały je zupełnie. W tym roku już dostarczyciele uciech ludowych nie dźwigną się, o ile nie posiadają — szynków. *K.*

### Karmienie .. ludzi.

Wielkie to szczęście, że sądownictwo u nas ma tylko dwie instancye: inaczej bowiem moglibyśmy na pewno spodziewać się, że dzienniki po raz trzeci lub czwarty zaczną co kilka dni przypominać o terminie sprawy Barteniewa, a później *da capo* opowiedzą nam wszystko, co już wiemy o zabójstwie Wisnowskiej. Usłyszelibyśmy znowu o jej najtajniejszych stosunkach, przedśmiertnych kartkach, wiśniach, wynikach sekcyi, zawartości szklanek i garnka, potarganych nerwach itd. Naturalnie Izba sądowa, skoro do niej odwołał się winowajca, musiała ponownie rozpatrzeć cały materyał faktyczny i dowodowy, bo to jest

jej zadaniem i obowiązkiem; ale po co prasa przemieszała jeszcze raz błoto, które już dawniej rozrobiła? Po co? Odpowiedź na to pytanie spoczywa w dziennikarskich środkach rozciekawiania czytelników, albo też w ich gustach. Ponieważ mniej więcej to samo czynią pisma codzienne w całym świecie, nader ważnem byłoby zbadanie: czy chęć karmienia się skandalem i zbrodnią tkwi w naturze ludzkiej, czy też jest sztucznie wytwarzana i podsycana przez opisy gazeciarskie? Nasze spostrzeżenia pod tym względem wiodą nas do wniosku, że pewien rodzaj człowieczy rzeczywiście łaknie widoków gorszących i krwawych: dowodem objawy dziedzicznych zwyrodnień, przytaczane w dziełach psychiatrycznych, natłok do sądów kryminalnych podczas ważniejszych procesów, zbiegowiska na placach kary śmierci, chciwe czytywanie powieści z wątkami zbrodniczymi itd. Z drugiej wszakże strony nie ulega wątpliwości, że literatura a zwłaszcza prasa rozwija i proteguje te niezdrowe upodobania w jednostkach, w których bez jej wpływu albo nie zrodziłyby się, albo nie wzrosły do takiego stopnia. Czyż mamy przeciw temu oddziaływać? Gdyby ktoś dmuchał pod prąd rzeki, ażeby jej bieg odwrócić, nie zmarnowałby swych wysiłków bezskuteczniej, niż moralista, który pragnie zwężyć lub zatamować potok krwi i błota, płynący w kolumnach prasy. Nie powstrzymałby ani jednej jego kropli. Pomimo to wszakże, pomimo całego przekonania o daremności takich starań, w marzycielskiej nadziei, że one na kogoś oddziałają, że kiedyś ludzkość wyszlachetnieje w swych pożądaniach i zadowoleniach, powinniśmy za każdym razem protestować przeciwko nurzaniu uwagi publicznej w kałużach moralnych, a odciąganiu jej od przedmiotów godniejszych. Niepodobna pogodzić się z faktem, że brudna miłostka jakiejś zagranicznej cyrkówki bardziej nas zajmuje, niż najwspanialsze dzieło nauki i sztuki, że lepiej znamy działalność Francesconiego, niż Hobbla, Pawlaka, niż Dybowskiego, że gdyby żył Bakon, więcej wiedzielibyśmy o jego nadużyciach, niż o *Organonie*. Wtedy bowiem musielibyśmy jednocześnie uznać, że w człowieku przeważają te instynkty, które go przyciągają do poziomu leżącego daleko pod zwierzęcym. I doprawdy nie ma na świecie większych pesymistów od redaktorów tej prasy, która łowi i sprzedaje echa występku. Zdają się oni mówić do ludzi: dawalibyśmy wam wiadomości o zdobyczach wiedzy, o wspaniałych utworach sztuki, o wypadkach bohaterstwa, zacności, pracy, ale to nudziłoby was śmiertelnie; więc opowiadamy, kto morduje, kradnie, rozbija, oszukuje, upadla się, łajdaczy, bo to was zajmuje i pochłania; jest to dla nas niezawodnem, że gdybyśmy posiadali dwie tajemnice: jedną — gdzie przebywa Pawlak, a drugą — skąd powstają wybuchy wulkanów, krzyknęlibyście chórem: chcemy słyszeć o Pawlaku. A więc masz tłumie, czego żądasz.

Nie mogąc zdobyć się na ten pesymizm względem natury ludzkiej, donosimy tylko czytelnikom, że w sprawie o zabójstwo Wisnowskiej Izba sądowa potwierdziła wyrok pierwszej instancyi, skazujący Barteniewa na 8 lat ciężkich robót. *O.*

### Co filozofom się nie śniło.

Z dwojga złego wolimy już taką filozofię, jakiej próbkę dało nam jedno z pism codziennych, niż pompowanie skandalu. Oto dosłowne wyjątki z wykładu o podwójnem „ja," który w niemało zdumienie wprawiłby Ueberwega lub Zellera:

„Ja" filozoficzne, *das Ich*, *wynalazł* mędrcem królewieckim zwany Kant.

My *nie żyjemy* w świecie, a jeno świat w nas żyje. Bezgraniczna bowiem pełnia zjawisk niczem więcej nie jest, jak tylko *odblaskiem* własnego „ja" naszego; dusza ludzka dzięki swej naturze misternej zdolna z głębi swojej cały ten świat *wysnuć* ze wszystkiemi jego barwami i tonami, a wielki sztukmistrz filozofii niemieckiej, Hegel, napisał raz w napadzie buty, że „potrafi cały świat zbudować z wnętrza swego pióra gęsiego."

To „ja" grasowało długo jak *epidemia* na obszarach niemieckiej myśli spekulatywnej; potem minęło, jak każda *zaraza*. Schopenhauer ironią niezrównaną począł *rozbijać mgły* mądrości Kantów, Heglów i Herbartów, a reszty dokonał potężny rozkwit badań przyrodniczych i fizyologicznych.

Owo „ja" obecnie nie jest już wszechmocnym mistrzem, który świat stwarza z *niczego*.

Jednakże nawet bez najmniejszego wpływu niewyjaśnionych dotąd przez nikogo sił hypnotycznych *mogą się* w jednym człowieku znajdować dwie istoty, dwie osoby, a niedawno profesor paryski dr. Proust przedstawił akademii *des scencies morales* historyę następującego niewątpliwie sensacyjnego wypadku."

Opowiedziawszy żywot pewnego adwokata, który z zupełną zatratą pamięci działał i postępował jak człowiek podwójny, filozof nasz dodaje:

„Szczególnie *podejrzanem* jest owo dubeltowe „ja," bo w takim razie każda wiarołomność spałaby spokojnie pod jego baldachimem.

Że charakter człowieka wogóle *wyklucza* taką dwoistość, wyraził już Schiller w wierszu (z *Walensteina*)."

Nie zaczepimy tu nawet kwestyj, czy Kant „wynalazł *ja*," czy on i jego następcy dowodzili, że „nie żyjemy w świecie," czy już „minęła zaraza" przez nich sprowadzona, czy Schopenhauer (autor dzieła „Świat jako wola i *wyobrażenie*") „rozbił mgły mądrości Kantów," a nawet czy nasz filozof uznaje lub nie uznaje dwoistego *ja*, gdyż spór, jakkolwiek łatwy, nie jest wcale ponętny. Powtórzymy tylko to, o co już nieraz w *Prawdzie* wołano: niechże się zlituje któryś z zamożniejszych nakładców i wyda podręcznik historyi filozofii, odpowiadający dzisiejszym potrzebom. Schwegler się przestarzał, Lewes poświęcił ścisłość przystępności, a zresztą mamy go jedynie w kawałku, p. Straszewski... Nie budźmy go lepiej do czynu. Nieoceniony i ciągle odmładzany Ueberweg byłby wybornym dla nas doradcą, ile razy chcielibyśmy mówić o Kantach i Schopenhauerach. A niezawodnie znalazłby w społeczeństwie naszem dość nabywców, którzyby pokryli koszty wydania jego pracy. Trzeba tylko, ażeby się znalazł ktoś, ktoby go umiejętnie przetłomaczył, i drugi, któryby parę tysięcy rubli na druk, papier i honoraryum wyłożył. *N.*

### M ł y n e k.

Młynek, poruszający się oddawna i rozcierający puste słowa w sprawie kasy emerytalnej kolei Terespolskiej, sypnął znowu plewami. Ktoś w *Kuryerze codziennym* zaproponował, ażeby Rada zarządzająca rozcięła węzeł swoją kieszenią i ażeby co prędzej ją zapytano: czy da i ile da? Na to odpowiedział w temże piśmie „Uczestnik-pesymista," że ona nic nie da i dać nie może. Naprzód bowiem nie jest odpowiedzialna osobiście, gdyż z siedmiu jej członków, podpisanych na ustawie, pięciu umarło, a dwu przebywa za granicą; powtóre jako przedstawicielka Towarzystwa drogi nie może rozporządzać dowolnie jego funduszami, zwłaszcza że one pozostają pod kontrolą rządową. Odparto te twierdzenia, ale słabo. Chociaż tedy wiatraczek pod dwoma podmuchami zakręcił się znowu, żadnej wskazówki praktycznej wynaleźć nie zdołał. Emeryci pobierają dalej niezmniejszone płace, urzędnicy kolei wnoszą zmniejszone składki, z których nie doczekają się gruszek na wierzbie i nie mają żadnej rękojmi ubezpieczenia swego bytu po wysłudze lat. Budujący widok! Ale nasz, swojski, rodzimy! *P.*

### Bulwary nad Wisłą.

Dopóki sprawa bulwarów nad Wisłą snuje się z plotek lub projektów p. Dewarsa, odrzuconych przez Magistrat, nie daje nam materyału do zastanowienia się nad nią. Nie chcemy bowiem pomagać do nasypywania jeszcze wyżej tej olbrzymiej góry frazesów dziennikarskich, które wiatr szybko rozwiewa bez śladu. Nie podsuwamy również swojego zdania o najnowszej propozycyi p. Dewarsa, której jeszcze osobna komisya nie zbadała, gdyż dla rozstrzygania tego rodzaju kwestyj trzeba je dokładnie poznać i oświetlić znacznym zasobem wiedzy technicznej i finansowej. Dotychczasowe układy, których rezultat jest bardzo wątpliwy, toczą się po za areną publiczną i utykają ciągle na dwu przeszkodach: wysokości żądań kapitalistów francuskich i ubóstwie kasy miejskiej. P. prezydent i jego doradcy wiedzą zapewne lepiej od nas, czy kasa ta, obciążona olbrzymimi wydatkami na kanalizacyę, może pozwolić sobie jednocześnie na tak kosztowny sprawunek, jak bulwary. Ale gdyby nawet nie zdołała obecnie dźwignąć tego drugiego ciężaru, chyba dla żadnego rozsądnego człowieka nie jest to wątpliwe, że prędzej czy później puste i zaśmiecone wybrzeże Wisły zamienić się musi na szereg placów, ogrodów i ulic, oraz że Warszawa z tej przemiany czerpać będzie wysokie korzyści. Jeżeli pobrzeże wielkiej rzeki, płynącej pod wielkiem miastem jest błotną i cuchnącą pustką; jeżeli taka Saska Kępa posiada dotąd zaledwie łąki, błonia, huśtawki i karczmy, to zagadkę podobnego zaniedbania tłomaczy tylko nasza nieudolność, brak zmysłu praktycznego i estetycznego. Za granicą oba brzegi Wisły byłyby najpiękniejszemi i najstaranniej wyzyskanemi dzielnicami. Nie dziwi też nas wcale, że na nie ciągle pada uwaga kapitalistów obcych, którzy wprost nie mogą pojąć naszego lekceważenia i widzą zyski z zużytkowania placów najdogodniej rozłożonych. Dewars, czy nie Dewars — ktoś je przetworzy, ale, niestety, z pewnością będzie to, jak zwykle, cudzoziemiec, bo nasz kapitalista po za wioskę, dom, listy procentowe ze swą przedsiębierczością wydobyć się nie może. *K.*

### Szkółka teatralna.

Biły serca z rozmaitą siłą, ale biły na popisie klasy dykcyi i deklamacyi w Towarzystwie muzycznem, bo oglądaliśmy zarybek teatralny, z którego mają wyrosnąć grubsze ryby sceniczne. Czy z panów: Łosia, Chądzyńskiego, Zajdowskiego, Wilczyńskiego, Muklanowicza i in. oraz z pań: Surowieckiej, Ekertowej, Paprockiej i Bogusławskiej będzie Melpomena miała dużo pociechy, dziś jeszcze orzec niepodobna. We wszystkich widoczna praca (najchętniej i najgorliwiej pracują u nas kandydaci i kandydatki do sceny), tu i owdzie błyskają iskry talentu lub ujawniają się pożądane warunki fizyczne, ale trudno z tych drobnych zaliczek obrachować wysokość kapitału sił i uzdolnień. Zamiast wróżyć tryumfy lub zawody uczniom i uczenicom, wolimy przyznać ich nauczycielom zasługę pomyślnych rezultatów. *W.*

### Potrzeba rynku.

Hodowcy nasi utyskują nad zaniechaniem wystaw inwentarza urządzanych przez lat 7 w Warszawie przez Towarzystwo wyścigów konnych. Wystawy te bowiem dawały im dogodny i korzystny rynek zbytu. *Kuryer warszawski* opowiada, że sprzedawano tam okazy za podwójne ceny, zwłaszcza gdy kupcy z Cesarstwa zaczęli przybywać do Warszawy po inwentarz rasowy, zamiast udawać się za granicę. Jeżeli tak było i jeżeli nasi hodowcy istotnie tak znakomite odnosili zyski, to czemuż nie zaofiarują Towarzystwu wyścigów konnych stałego zasiłku, który by mu pozwolił wskrzesić wystawy? Bo o ile nam wiadomo, zostały one przerwane dlatego, że nie pokrywały swych kosztów. „Utyskiwania" nic tu nie pomogą, trzeba je poprzeć kieszenią, skoro ona korzysta. Trudno zaś wymagać, ażeby Pawłowic opłacali wydatki

rynku Gawłów. Kogo obchodzą wyścigi konne, ten nie może starać się o ułatwianie zbytu kur lub wieprzy. *L.*

### „Łagodny masaż."

Jak wiadomo czytelnikom naszym władza lekarska zabroniła p. Ochorowiczowi przyjmowania chorych. Otóż szan. filozof zwrócił się do departamentu z prośbą i następującem wyjaśnieniem swej praktyki: on nie leczy w ścisłem tego słowa znaczeniu, gdyż nawet wyklucza wszelkie lekarstwa; używa tylko lekkich pociągnięć po ciele, zbliżonych do masażu; ponieważ zaś taka czynność jest uprawniona, więc prosi o pozwolenie mu na „łagodny masaż według własnej metody." Departament zgodził się. A zatem: doktór filozofii, docent uniwersytetu lwowskiego, wynalazca termomikrofonu, autor dzieła o suggestyi, apostoł hypnotyzmu, magnetyzer, teraz przybrał na się postać „łagodnego masażysty." Po jakich to dziwnych szczeblach wspina się czasem przemysł! Ale to nie koniec drabiny. Bo gdyby przypadkiem i „łagodny masaż" został kiedyś zakazany, pozostaje jeszcze „niewinne głaskanie," które już nigdy zabronione być nie może i pod które również da się „podciągnąć" praktyka magnetyzerska. *W.*

# KRONIKA

**Zerwanie umowy** przez Rotschilda w układzie z Rosyą o 500 milionową pożyczkę jest ciągle przedmiotem rozpraw i dociekań w prasie zagranicznej. Jedna z najpoważniejszych gazet niemieckich (*Frankf. Ztng*) drukuje list, który zaprzecza mniemaniu, jakoby bankier paryski kierował się współczuciem dla żydów i wyjaśnia jego pobudki w następujący sposób: „Względy sentymentalizmu nie mogą grać żadnej roli przy wielkich operacyach finansowych, a najmniej dla konsorcyum, w którem banki bezwyznaniowe poniekąd paraliżują wpływ Rotschilda. Daleko głębsze przyczyny powstrzymały emisyę. P. v. Hansemann nie zasługiwałby na sławę pierwszej głowy finansowej, gdyby nie dostrzegł wcześnie, że Rosya może finansowo stać się takimże przeważnym czynnikiem dla giełd europejskich, jakim od lat wielu jest dla wszelkich zagadnień politycznych. Ciągłe gromadzenie złota w piwnicach ruskiego Banku państwa jest równie momentem politycznym, jak przesuwanie wojsk ku granicy... Zauważyć należy— pisze dalej korespondent — że ruski minister skarbu już dziś może utrudnić, jeżeli nie udaremnić, każdą wielką emisyę państwa europejskiego, a chociaż wobec swych depozytów zagranicznych związany jest co najmniej 4-tygodniowym terminem wypowiedzenia sum, widzieliśmy przy wypuszczaniu przedostatniej 3% pożyczki niemieckiej, jaką burzę jest on w stanie wywołać na europejskich rynkach pieniężnych. Potęga ta przez nową emisyę, któraby by mu za granicą pomnożyła zasoby o 90 mil. franków, stałaby się po prostu groźną; ażeby tego nie dopuścić i nie dopomódz do podkopania własnego wpływu na giełdach europejskich, konsorcyum Rotschilda musiało się cofnąć."

**Taryfa celna** w opracowaniu osobnej komisyi przeszła do Rady państwa, która ją przyjęła z małemi zmianami, zniżywszy w niektórych punktach opłaty za materyały surowe (zwłaszcza bawełnę).

---

**Sprawy społeczne.** Z kraju zakaspijskiego, głównie z Aschabadu, zaczęto wydalać żydów z rozporządzenia miejscowego general-gubernatora.

— *Graždanin* dowiaduje się o projekcie urządzenia teatrów ruskich w Rewlu, Rydze, Dorpacie, Mitawie i innych znaczniejszych miastach na kresach, „gdzie słabo jest rozwinięty język ruski i idea narodowa." Instytucye te mają być oddane pod nadzór osób ze składu dyrekcyi teatrów cesarskich i ich sił artystycznych.

— Kolonie letnie dla ubogich dzieci z Warszawy otwarte będą w Jankowie, Siennicy, Lesznie, Żyrardowie, Bartnikach, Łęcznej, Długowie, Sadkowicach i Celestynowie.

— Wiktorya Bartoszewiczowa w Wilnie zapisała dwa domy na rzecz studentów uniwersytetu i uczniów gimnazyum.

— Podczas wyborów do Rady państwa z okręgu Kołomyja-Buczacz-Śniatyń, skutkiem zwycięztwa rabina Blocha wybuchły rozruchy w kopalniach nafty w Słobodzie rungurskiej pod Kołomyją. W sprawie tej rozpoczął się d. 12 b. m. proces w sądzie kołomyjskim przed zwykłym trybunałem przeciw 34 robotnikom i wiertaczom ze Słobody „o gwałt publiczny przez złośliwe uszkodzenie cudzej własności, kradzieże i bójki." Głównie chodzi o wybicie przeszło 1000 szyb.

— Olbrzymie roje szarańczy zniszczyły zupełnie pola marokańskie na przestrzeni kilkunastu mil. Algier ucierpiał również.

— Wydano rozporządzenie zobowiązujące duchowieństwo w Alzacyi i Lotaryngii, ażeby przy obowiązkach urzędników stanu cywilnego używało języka niemieckiego.

**Szkoły.** Projekt szkoły rządowej dla ogrodników przy ogrodzie Pomologicznym w Warszawie, przychylnie przyjęty przez kuratora, został przesłany do zatwierdzenia władzy wyższej.

— W Charkowie powstanie szkoła handlowa kosztem kupców miejscowych.

— Główne Towarzystwo kolei żelaznych założy szkołę techniczną w Białymstoku lub Grodnie.

— W szkołach finlandzkich będzie zaprowadzona konwersacya ruska, jako oddzielny przedmiot.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, iż kandydaci zewnętrzni, przystępujący do egzaminów ostatecznych w szkołach realnych, w których w klasie 6-ej wykład chemii, mechaniki i geometryi wykreślnej został skasowany, nie podlegają egzaminowi z tych przedmiotów; przy czem wiadomości z chemii i mechaniki wymagane są w tym zakresie, w jakim potrzebne są przy nauce fizyki. W tych zaś szkołach, gdzie przedmiotów powyższych nie skasowano, kandydaci owi podlegają egzaminowi na równi z uczniami szkół realnych.

— Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych odbyło w tym roku walne zgromadzenie we Lwowie 17 i 18 b. m. Liczy ono 703 członków w Galicyi, a w 11 miastach posiada koła nauczycielskie. Wydaje miesięcznik p. t. *Muzeum*.

— Otwarcie wydziału lekarskiego na wszechnicy lwowskiej nastąpi w jesieni r. b. Z tego powodu posłowie galicyjscy w komisyi budżetowej zażądali podwyższenia zapomogi rocznej na bibliotekę uniwersytecką z 6,000 złr. na 9,000, celem zakupu dzieł lekarskich.

— Strasburg ofiarował pół miliona marek na założenie wielkiej szkoły rzemieślniczej.

**Komunikacye.** Linię tramwajową z Warszawy do Czerniakowa otwarto.

— Łódź ze Zgierzem otrzymają połączenie telefoniczne.

**Wystawy.** Wystawę francuską w Moskwie otwarto 11 maja.

— Na wystawie elektrycznej w Petersburgu urządzony będzie specyalny oddział zastosowania elektryczności do sztuki wojskowej.

— Wystawa starożytności wkrótce się odbędzie w Petersburgu.

— Wystawa rybołówstwa ze wszystkiemi gałęziami gospodarstwa rybnego odbędzie się w Petersburgu.

— W Asti w Piemoncie otwarto bogatą wystawę win włoskich.

— W Pradze otwarto wystawę czeską.

— Wystawę elektro-techniczną w Frankfurcie n. M. otwarto 16 b. m.

— Na r. 1892 zapowiedziano w Paryżu wystawę wszystkich ras ludzkich. Okazy będą żywe.

— W Londynie otwarto wystawę akwarelistów angielskich.

**Przemysł i handel.** W Łodzi powstaje fabryka gilz papierowych.

— Pod Warszawą za rogatką Wolską rozpoczęto budowę młyna parowego.

— Kapitaliści francuscy zakupują kopalnie węgla nad Donem.

— W Kamieńcu Podolskim zawiązuje się stowarzyszenie w celach handlowych.

---




Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 10 Мая 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. Al. Świętochowski.